

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.



**Rząd PiS jest
niereprezentatywny,
bo heteroseksualny.**



**Oszuści
spod Ziobry**

str. 7

**Kto muska
Tuska**

str. 12



DUDA ZACISKA ZĘBY



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

 Tygodnik NIE

TYDZIEŃ Z GŁOWY

13 lipca o dziewiątej rano dolar amerykański kosztował 4,83 zł, euro 4,84 zł, frank szwajcarski 4,92 zł, a funt brytyjski 5,75 zł. Nic dziwnego, że partacz nazwiskiem Glapiński mówił niedawno, że dopóki będzie prezesem Narodowego Banku Polskiego, Polska do strefy euro nie wejdzie. Bo niby czego miałyby tam szukać z takim kursem złotego?

Partacz Glapiński zapowiedział, że kulminacja inflacji nastąpi pod koniec wakacji, a nazajutrz eksperci z NBP sprostowali, że największa inflacja będzie na początku przyszłego roku i wyniesie od 18,8 do 26 proc. Komu Państwo wierzą? My ekspertom, tylko do ich prognozy dodalibyśmy jeszcze z 5 proc...

Ci sami eksperci wieszczą, że jesienią podwyżka nośników energii osiągnie dwucyfrowy poziom. Stawiamy raczej na poziom trzycyfrowy, czyli co najmniej 100 proc.

Żeby prognoza ta nie dotyczyła przynajmniej gazu ziemnego, rząd przyjął projekt ustawy wzmacniającej bezpieczeństwo gazowe państwa. Projekt zakłada, żeby dla „szpitali, szkół, żłobków, przedszkoli, domów dziecka, kościołów i związków wyznaniowych, noclegowni czy Ochotniczych Straży Pożarnych” oraz dla klientów prywatnych zamrozić cenę gazu na poziomie średniej ceny obowiązującej od 1 stycznia do 31 grudnia 2022 r.

Rada Polityki Pieniężnej podniosła stopę referencyjną do 6,5 proc. Następne podwyżki – których partacz Glapiński nie wyklucza – nastąpią we wrześniu, bo członkowie RPP wybierają się na wakacje i nie mają czasu dbać o sytuację ekonomiczną obywateli Polski.

W rocznicę rzezi wołyńskiej prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski nie przeprosił – jak zapowiadali optymiści z Polski – lecz wniósł projekt ustawy o szczególnym traktowaniu obywateli polskich w Ukrainie. Na granicy nie zanotowano tysięcy Polaków śpieszących na Ukrainę zakładać spółki z ograniczoną odpowiedzialnością...

Na aferę mejlową Dworczyka zareagował wiceprezes trybunału magister Przyłębskiej doktor dubler Muszyński. Najkrócej mówiąc: zjechał przełożoną na funty i teraz czeka na to, co będzie dalej (więcej w „Mózdku Tygodnia” na str. 5).

Dał głos również inny dubler z trybunału Przyłębskiej – o arystokratycznym nazwisku Wyrembak. Ów Wyrembak napisał komentarz na internetowej stronie Trybunału Konstytucyjnego, przestrzegając przed „tragicznymi” skutkami zakończenia rządów PiS-u: „Każdego dnia z dużym wrzaskiem nadciąga widmo nowych »rządów prawa« – sprawowanych za pomocą sierpa i młota”. My się Wyrembakowi nie dziwimy – gdybyśmy byli owocem zatrutego prawa, też byśmy drżeli przed nadchodzącą sprawiedliwością.

Europoseł z Solidarnej Polski, który nazywa się Jaki, „porozmawiał sobie” z dziennikarką TVN24.pl. Rozmowa odbyła się w siedzibie Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie urzęduje partyjny przełożony Jakiego nazwiskiem Ziobro, i dotyczyła nadużyć, których dopuszcza się ojciec Jakiego juniora, Jaki senior, pełniący funkcję prezesa samorządowej spółki Wodociągi i Kanalizacja w Opolu. Można powiedzieć, że jaki ojciec, taki syn albo że jabłko od jabłoni pada całkiem niedaleko.

Pisowski europoseł nazwiskiem Brudziński powołał się na wpis „jednego ze znajomych”: „Dzisiaj Niemcy próbują od Polski wymusić dzielenie się z nimi gazem, bo oni się z nami dzielili swoim gazem podczas II wojny światowej”. Nie sądzimy, żeby taki prymityw jak Brudziński w ogóle miał jakichś znajomych, a już na pewno nie takich, którzy potrafią pisać.

Pisać najwidoczniej umie pisowska radna z województwa zachodniopomorskiego, która nazywa się Jacyna-Witt, bo opublikowała na Twitterze swoje zdjęcie na polu golfowym i podpis: „Jak tam chłopcy z Platformy Obywatelskiej? Haratacie w pospolitą gałę? No widzicie. A ja, z Prawem i Sprawiedliwością na najlepszym w Polsce polu golfowym i jednym z trzech najlepszych w Europie, haratam sobie w golfa z handicap 13,5 jak Tiger Woods, Barack Obama, Joe Biden, Ivanka Trump i jej mąż”. Rzeczywiście widać podobieństwo nie tylko w handicapie: radna Jacyna-Witt wygląda na zdjęciu tak interesująco, jak Ivanka Trump będzie wyglądała za 80 lat.

Listy uwierzytelniające złożył Prezydentowi Rzeczypospolitej ambasador Izraela w Warszawie Jaakow Liwno. Może to świadczyć o normalizacji stosunków dyplomatycznych Izraela i Polski. Teraz czas na ambasadora Polski w Tel Awiwie. Błagamy: tylko nie wysyłajcie Brudzińskiego, bo z tym gazem to tylko nabalagani...

WRÓCIŁ Z
WAKACJI



Pochwala pedała



?

Miałem 12 do 14 lat. Mieszkaliśmy w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 134. Blisko, na tej samej ulicy, stał pałac zbiegłego niemieckiego fabrykanta Kindermana. Po Lublinie w 1944 r. Łódź w 1945 r. stała się na krótko faktyczną stolicą Polski. W pałacu Kindermana miał siedzibę polski Sąd Najwyższy. Urzędował tam przybyły z emigracji w Londynie sędzia SN S., znajomy rodziców sprzed wojny. Zgodził się uczyć mnie angielskiego. W trakcie lekcji pieścił mi udo, sięgając palcami do krocza. Poskarżyłem się rodzicom. Powiedzieli, żebym nie zawracał głowy. Gdzie oni znajdą innego, dochodzącego do nas, tak taniego nauczyciela.

Teraz, w połowie 2022 r. Ziobro chce wsadzić do więzienia na do trzech lat rodziców niedonoszących do prokuratury na czynnego pedofila. W roku 1945 byli bezkarni. W każdym razie ja, zajęty pieczytami sędzkiego, nie uczyłem się angielskiego. Rodzice zaś wciąż się upierali, abym posiadał ten język. Byłem już młodo-dorosły, gdy wynajęli w tym celu gwiazdora anglistyki, autora podręczników. Z góry wiedzieli, że jest homoseksualistą. Ten mentor nie uwodził mnie, jednak nauczanie polegało na dawaniu nam wykładów po angielsku, czyli dla mnie w mowie niezrozumiałej. Podkreślałem, że dla mnie, ponieważ lekcje z języka Szekspira pobierałem wraz z moim kolegą P. Ja ani „be”, ani „not to be”, ale P. wyjechał wtedy do Anglii i w Oxfordzie miał roczny kurs języka, a potem 3-letni fizyki. Nie minęło wiele czasu, gdy zaczął wyklądać tę niezrozumiałą dla mnie dyscyplinę i potem został profesorem fizyki teoretycznej. Jak wiadomo, ta wiedza prowadzi do wyprawowania prawa Archimedesesa z równań matematycznych, podczas gdy fizyka laboratoryjna wymaga zanurzania ciała w wodzie, na szczęście nie własnego.

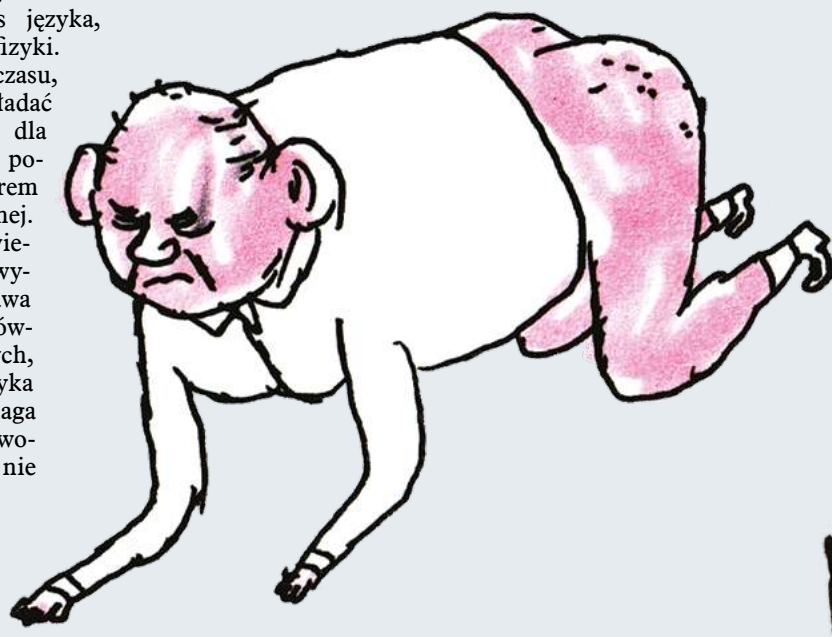
Moje doświadczenia upewniły mnie, że angielski jest językiem pedałów, a że wciąż zanurzałem się w panienkach, z homoseksualizmem nie mając więcej do czynienia, czyli z językiem pana Szekspira również.

Wywód ten oznacza, że poprzez głupi heteroseksualizm odciąłem się od wspólnego języka Europy i USA i pozostaję mazowieckim chamelem.

Gdybym choć próbował pederastii, byłbym obywatelem świata, do czego aspirowałem.

Prowadzi to do wniosków, że żadna monokultura nie jest dobra, nawet pianistyka szopenowska. Można zostać heterykiem, ale dopiero po doświadczeniu seksu lesbijskiego lub pedalskiego. Inaczej panienki rznie się w ciemno, jak to tylko ciemniakowi przystoi. Rozchyłam więc pośladki.

URBAN
sekr@redakcja.nie.com.pl



Rys. JANEK KOZA

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Sebastian Fabijański** przyznał, że nie pamięta nocy spędzonej w transpeliową **Rafalalą**. Czy otarcia na łokciach i kolanach nie mogą być jakimś tropem?
- **Sejm** przegłosował zmianę, w myśl której pijani kierowcy będą mieli konfiskowane samochody. Teraz dopiero zaczną się pościgi policyjne w amerykańskim stylu.
- **Prezydent** podziękował na Jasnej Górze **ojcu Rydzikowi** za głęboką pamięć o ojczyźnie. Sformułowanie „ma głęboko w pamięci” lepiej oddaje sedno sprawy.
- **Donald Tusk** zaproponował wprowadzenie 4-dniowego tygodnia pracy. Dla odmiany pracujące zostawmy niedziele i święta kościelne.
- **Minister Ziobro** zapowiedział zniesienie przywilejów dla osadzonych, gdyż więzienie to nie sanatorium. Więźniom szczególnie podczas brania biczów wodnych wydaje się, że są w Ciechocinku.
- Na Jasnej Górze **biskup Szlachetka** zapewnił, że Europie nie jest potrzebna zmiana płci. Właśnie: czy Szlachetka to jest męskie nazwisko?

MARTA M.

PRÓBUJE WIAZAĆ
KONIEC Z KONCEM!



PRZEMINĘŁO Z WIATÉREM

Rys. TOMASZ WINTER

Rys. PATRYK SROCIŃSKI

ANDRZEJ SIKORSKI

Prokuratura Okręgowa w Ostrowie Wielkopolskim prowadzi śledztwo w sprawie nadużycia władzy przez generała Jacka Kitlińskiego, szefa służby więziennej, i pułkownika Ryszarda Czaprackiego, komendanta nieistniejącego już Centralnego Ośrodka Szkolenia Służby Więziennej (COSSW) w Kaliszu, którzy mieli m.in. nękać, zastraszać i stosować mobbing wobec podległych im funkcjonariuszy. Przełożeni dlatego się tego mieli dopuszczać, że podwładni zgłaszali liczne nieprawidłowości, do jakich miało dochodzić w COSSW. Nadużyć miał się dopuścić Marcin Strzelec (protegowany Zbigniewa Ziobry i Patryka Jakiego), od niedawna generał i rektor-komendant podległej Ministerstwu Sprawiedliwości Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości w Warszawie, kształcącej studentów zgodnie z zasadami etyki chrześcijańskiej.

Fucha. Jeszcze w 2016 r. Strzelec był skromnym kapitanem i kierownikiem Zakładu Technologii Informatycznych i Edukacyjnych COSSW w Kaliszu. Kontrola przeprowadzona przez Biuro Spraw Wewnętrznych Centralnego Zarządu Służby Więziennej (wyspecjalizowanej komórki m.in. do zwalczania nadużyć wśród funkcjonariuszy służby więziennej) wykazała, że Strzelec traktował miejsce pracy jak prywatny folwark. Miał firmę informatyczną i w czasie służby na służbowych komputerach wykonywał usługi dla spółki transportowo-logistycznej, a do pomocy wykorzystywał podwładnych. Strzelec i jego podwładni nie tylko odwalali lewiznę, ale robili to, będąc na zwolnieniach lekarskich i w trakcie podróży służbowych. Kontrolerzy ustalili, że Strzelec wyłudził delegację. Zamiast być na konferencji w Warszawie, zajmował się fuchą. Na służbowych komputerach zainstalowano pirackie oprogramowanie, brak było oprogramowania antywirusowego, znaleziono za to materiały o charakterze pornograficznym. Najbardziej jednak oburzające jest to, że Strzelec zacierał ślady swojej nielegalnej działalności, czyszcząc dyski komputerów w przeddzień spodziewanej kontroli (pisaaliśmy o tym szczegółowo w publikacji „Chłopak Ziobry i Jakiego”, „NIE” nr 45/2018).

Parasol. Sprawą zainteresowali się funkcjonariusze ze związków zawodowych działających w COSSW. O nieprawidłowościach poinformowali przełożonych i prokuraturę. I gdy wydawało się, że Strzelec beknie, do władzy doszło PiS, a wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki roztoczył parasol ochronny nad podpadniętym oficerem. Umorzył postępowanie dyscyplinarne jeszcze przed zakończeniem śledztwa przez prokuraturę, mimo iż ta potwierdziła nieprawidłowości.

Strzelec, który złapał wiatr w żagle (w międzyczasie został zastępcą komendanta COSSW i awansował do Centralnego Zarządu Służby Więziennej), wziął odwet na związkowcach. Zapowiedział im, że za kapowanie zostaną zesłani do odległych jednostek. Tak też się stało, chociaż oficjalnie za tymi decyzjami stał generał Kitliński.

Funkcjonariusze wystąpili do sądu przeciwko Centralnemu Zarządowi Służby Więziennej (CZSW). Sąd Okręgowy w Kaliszu uznał, że delegowanie nie miało podstaw merytorycznych i było szykaną za ujawnienie nieprawidłowości. Sygnaliści dostali symboliczne odszkodowanie.

Szykanowani funkcjonariusze złożyli też zawiadomienie do prokuratury, gdzie sprawa kisi się już 4 lata. Podwładni Ziobry mają nie lada problem z tym, jak uchronić przed odpowiedzialnością karną generała Kitlińskiego, który powinien beknać za to, że dał się podpuścić Strzelcowi (a być może też Ziobrze i Jakiemu) i złamał prawo.

Piwo. Jak ustaliłem, jeszcze w maju 2021 r. czynności śledcze przeprowadzali policjanci z Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu. Wkrótce po złożeniu zeznań przez jedną z byłych funkcjonariuszek – nazwijmy ją Bożeną – całość akt została przekazana do Prokuratury Rejonowej w Kaliszu, a następnie do Prokuratury

Jak się ślini generał Ziobry

Daj dupy, to zrobisz karierę w służbie więziennej.

Okręgowej w Ostrowie Wielkopolskim.

Co takiego powiedziała kobieta? Opowiedziała o molestowaniu przez Strzelca. Zaczęło się od nachalnych prób umówienia się na piwo. Potem Strzelec starał się wymusić zaliczenie specjalistycznego kursu w zamian za randkę.

„Ja wtedy byłam po rozwodzie i nie miałam żadnych zobowiązań, ale powiedziałam: Marcin, ty masz żonę, jaka randka?” – zeznała Bożena.

Podczas wspólnego wyjazdu służbowego do Norwegii Strzelec oferował „zrobienie szybkiego łatwego doktoratu”, co funkcjonariuszka odebrała jako „wywarcie presji na ewentualne zbliżenie seksualne”.

Kobieta zeznała: „W hotelu w Oslo byliśmy dwie noce. Odbył się u mnie w pokoju spotkanie na drinka. Wszyscy byliśmy zmęczeni. Postanowiliśmy zakończyć to spotkanie i iść spać. On, wychodząc, powiedział do mnie: »Wejść do ciebie później«. Mogło to być ok. 23.00. Ja zamknęłam drzwi, wykapałam się i położyłam. Za jakiś czas zaczęło się pukanie do drzwi. Ja mu nie otworzyłam, udawałam, że śpię. Pukał dobre 10 minut. (...) Następnego dnia wieczorem znowu było spotkanie u mnie na drinka”.

Współtowarzysze delegacji opuścili imprezę, a w pokoju pozostał tylko Strzelec z Bożeną.

„Marcin Strzelec odczekał chwilę, zamknął drzwi, wszedł do łazienki. Po czym wyszedł z łazienki już bez majtek i bez spodni, w samej tylko koszulce. Od razu ruszył prosto do mnie z łapami. Ja zaczęłam go odpychać. Powiedziałam, żeby się ubrał, że ma żonę, powiedziałam, że mam inne zasady i że tak nie mogę. Chwilę to trwało, może z pół godziny, raz siadał na łóżku, znowu wstawał, w końcu ubrał się i wyszedł. Namawiał mnie na stosunek, mówiąc m.in.: »Nic nie mamy do stracenia«. Ja nie spałam wtedy prawie do rana. Przewidywałam, jak ten dzień następny będzie wyglądał ze strony Strzelca. Myślałam,

jak ja mam się zachować. Po czym Strzelec zachowywał się jakby nigdy nic, jakby nie było poprzedniego wieczoru. Następnego dnia na lotnisku powiedział do mnie: »Idę teraz żonie wybrać jakieś perfumy na bezcłowiec«. Byłam zdziwiona jego słowami. Jak już wróciliśmy, kilka dni po powrocie poprosił, żebym uzupełniła coś związanego z tym wyjazdem, jakiś raport czy delegację. On wtedy pociągnął mnie za rękę i zaczął mnie całować w usta. Ja znowu go odepchnęłam. To było coś, czego się nie spodziewałam”.

Strach. A co ma do powiedzenia generał Strzelec? W jego imieniu głos zabrał rzecznik prasowy kpt. dr Konrad Wierzbicki: „Informacje przekazywane przez (tu nazwisko kobiety) dotyczące p. Marcina Strzelca, należą do licznej grupy bezpodstawnych oskarżeń nieposiadających potwierdzenia w rzeczywistości ani w żadnym formalnym zawiadomieniu”.

Rzecznik Wierzbicki się myli. Bożena poinformowała o wszystkim Biuro Spraw Wewnętrznych, ale sprawa została zamieciona pod dywan. Policji i prokuratury nie zawiadamiała, gdyż bała się Strzelca. „Wiedziałam, że ma pieniądze i weźmie sobie adwokatów. Dostałam pismo jego adwokata z prośbą o zaniechanie działań godzących w jego wizerunek, w rodzinę, w jego normy etyczne, jakie on wyznaje. (...) On zaczął się wtedy piąć w górę. Gdy dostałam to pismo, to było blisko tego czasu, gdy Strzelec awansował do Warszawy” – stwierdziła podczas przesłuchania kobieta.

Bożena nadal się boi. Teraz, gdy Strzelec jest generałem i komendantem resortowej szkoły, za którym stoi minister sprawiedliwości i prokurator generalny, Bożena wie, że nie ma żadnych szans na sprawiedliwość.

Poprosiła prokuraturę, aby nie wszczyniała postępowania karnego w sprawie molestowania. □

nie@redakcja.nie.com.pl

Przypadek dyrektora D.

Ten specyficzny stosunek służbowy przełożonych wobec kobiet w służbie więziennej nie jest odosobniony. Pełniący obowiązki zastępcy dyrektora Aresztu Śledczego w Poznaniu Wojciech D. stracił stanowisko, po tym jak jego podwładne (funkcjonariuszki i stażystka) zgłosiły, iż dopuszczał się wobec nich czynności molestowania seksualnego polegających na dotykaniu oraz ocieraniu się o pośladki, całowaniu w policzki, obejmowaniu i przytulaniu. Zebrany materiał dowodowy spowodował, że Wojciech D. musiał sięgnąć na emeryturę, a po wyroku z grudnia 2020 r. został zobowiązany do zapłaty grzywny 5 tys. zł i zadośćuczynienia każdej z sześciu ofiar po 1500 zł. W tym przypadku Temida okazała się wyjątkowo łagodna. Szkoda, bo gdyby Wojciech D. dostał wyrok bezwzględnej odsiadki w jednej celi z podobnymi sobie, ale silniejszymi, to może zmieniłby pogląd na lubieżność w relacjach interpersonalnych. Przykłady Strzelca i Wojciecha D. świadczą o tym, że szef więziennictwa gen. Kitliński ma wyjątkowego pecha do nominowanych przez siebie oficerów. □



„Ruszymy w drogę z naszą opowieścią” – zapowiedział Jarosław Kaczyński podczas ostatniej konwencji Prawa i Sprawiedliwości.

Miejsce

Wszystkie spotkania prezesa odbywają się w obiektach zamkniętych. Kaczyński ma przekaz dla wyznawców. Warunek: klimatyzacja, bo prezes nie zwykł zdejmować garnitur. Ważne, żeby był łatwy dojazd i dużo miejsca dla towarzyszących służb. W Białymstoku prezes spotykał się w filharmonii, w Bielsku Podlaskim w hotelu, w Inowrocławiu w Państwowej Szkole Muzycznej, w Kielcach w centrum kultury...

Listy gości są zwykle dwie. Na pierwszą, dla plebsu, może wpisać się każdy, kto przejdzie weryfikację lokalnego PiS-u. Druga to rodzina i koledzy rządzących. Plus strażacy (galowe mundury dobrze robią wyglądowi widzowi) i delegacje z instytucji podległych PiS.

Dekoracje

Ogromne tablice z falującą flagą narodową i partyjnym logo w prawym górnym rogu. Na mównicy hasło: „PiS dobry rząd na trudne czasy” i flaga Polski. Tej nigdy za wiele, na krzesłach widowni rozkłada się więc chorągiewki, niech goście machają.

„Goście są usadzani według ważności i funkcji” – wyjaśnił kierujący przygotowaniem w Bielsku Podlaskim senator Jacek Bogucki z PiS-u.

Na krzesłach w pierwszym rzędzie kartki z nazwiskami ministrów, wojewodów, marszałków, posłów PiS. Równie ważnym kryterium są emocje notabli. Nie można posadzić obok siebie polityków, którzy się nie znoszą. Europoseł Krzysztof Jurgiel obok posła Jarosława Zielińskiego? Niemożliwe!

Do Bielska nie przyjechał ani jeden, ani drugi. Kolejne puste krzesło należy do wiceministra cyfryzacji Adama Andruszkiewicza. Stawił się za to wicepremier Jacek Sasin. Wiceminister edukacji Dariusz Piontkowski. I kojarzony z opozycją burmistrz Jarosław Borowski.

Bezpieczeństwo

Ochroniarze sprawdzają każdą torebkę, na salę nie można wnieść parasolki. Prezes wchodzi innym wejściem niż goście. Jest dokładnie obstawione przez służby.

Przed budynkami, w których odbywają się spotkania, gromadzi się mnóstwo radiowozów i policjantów. Samochody zajmują miejskie place i ulice. Prezydent Inowrocławia zgłosił prokuraturze, że prawem kaduka zawłaszczono parking i część pasa drogowego przy ul. Kilińskiego bez wcześniejszego zgłoszenia.

Gość

Kuleje, jest wyraźnie zmęczony. Gdy zaczyna „opowieść”, ożywia się. Opowieść trwa 40 minut. 20 minut zajmują odpowiedzi na pytania z sali. Są na kartkach, wyselekcjonowane przez gospodarzy pod pretekstem, że nie mogą się powtarzać.

Kaczyński stoi mniej więcej godzinę. Uśmiecha się.

Coś miłego

Białystok. Miasto znane Jarosławowi Kaczyńskiemu, był tutaj w 1962 r., gdy chodził do podstawówki. Później wykładał na miejscowej uczelni.

„To była taka wielka wieś” – na początek sięga do wspomnień. „A teraz jest metropolia”.

Wie, że w mieście rządzi wyhodowany przez PO Tadeusz Truskolaski. Ojciec posła PO Krzysztofa Truskolaskiego, ale tym razem prezes nie zajmuje się nepotyzmem.

„Nie myślcie, że piękny Białystok jest to zasługa prezydenta miasta” – informuje. „To jest nasza zasługa. To jest zasługa Prawa i Sprawiedliwości, to jest też zasługa pana marszałka, pana premiera i naszych posłów”.

Marszałkiem województwa jest Artur Kosicki, wyznaczony ostatnio na pełnomocnika PiS-u w Białymstoku i okolicy.

Braw nie ma, ale też widownia nie parska śmiechem. Choć mogłaby, bo działalność PiS-u na rzecz Białegostoku można porównać do wkładania kija w sprzchy nabierającego rozpędu roweru. „W najmniejszym stopniu do rozwoju miasta nie przyczyniły się osoby i organizacje wymienione w wystąpieniu. Mam dowody na to, że bardziej lub mniej skutecznie nam przeszkadzano” – skomentował potem Truskolaski.

W Inowrocławiu rządzi związany z PO Ryszard Brejza, ojciec senatora PO Krzysztofa Brejzy.

„Gdyby w Polsce była dyktatura, a ja, jak twierdzę, jestem dyktatorem, to czy tu pan Mejza by tu rządził?” – zagadał na dzień dobry Kaczyński.

Łukasz Mejza to skompromitowany poseł popierający PiS.

Sala życzliwie rechocze. Mejza czy Brejza, bez pół litra nie zgłębisz.

Podróże nieduże

Co robić po natknięciu się na prezesa Kaczyńskiego.

– Zmęczony jest. No, bidula... – mruczy starsza pani z kokiem, na oko rówieśniczka gościa.

– Dużo mu tych objazdów zostało? Po powrocie Warszawę z Moskwą pomyli – przewiduje jej sąsiad, na oko 30 lat, szary garnitur, niebieski krawat.

Kaczyński: „No, obawiam się, że nie. Mejza by tu nie rządził. Nie ma więc w Polsce dyktatury”.

Kaczyński sądzi widocznie, że widownia mruczy z aprobaty, zatem się rozpędza: „Tym bardziej, że przejeżdżając przez Włocławek, jakichś szczególnych powodów tych rządów nie widziałem. Może się mylę, ale wydaje mi się, że miasto nie jest tak zadbane, jak by mogło być”.

Włocławek leży 63 km dalej. Prezydentem jest tam Marek Wojtkowski, wcześniej poseł PO. Tu polityk PO, tam polityk PO, jednego i drugiego widywał w parlamencie, jak zrozumieć bez pół litra?

Opowieść

Same ogrzewane kotlety: PiS zbawia polską rodzinę, Polskę i Europę, „żeby tam zapanała normalność”. Wrogowie to Donald Tusk, Niemcy i osoby transpłciowe.

Z nowości: oświadczenie z Białegostoku, które zrobiło światową furorę, że w Niemczech euro jest warte 3 zł. „Tak to się zmienia pod naszymi rządami”.

Pytania

Większość sztampowa. Kłopotliwe: Jak poradzić sobie ze społeczno-gospodarczymi skutkami przyjęcia uchodźców z Ukrainy? („Trzeba było przyjąć, damy radę”). Co z upadłą spółdzielnią mleczarską Bielmlek, którą wpakował w kłopoty wpływowy senator PiS, swego czasu wiceminister rolnictwa? („Rolnicy otrzymali wsparcie z rządu, winnych rozliczy prokurator. Jej działania trzeba usprawnić, co blokuje Bruksela”).

Żarty

– Zwyciężymy, zwyciężymy! – ryczy sala.

Prezes: „Pewnie, że zwyciężymy. Ale może najpierw mnie posłuchajcie”.

– Ha, ha, ha... – cieszą się ludzie.

– Czy pojedzie pan do Puszczy Białowieskiej?

Pytanie ma związek z ewentualnymi odszkodowaniami za straty wynikające z wprowadzenia przy granicy strefy zamkniętej.

Kaczyński: „Co, korniki oglądać?”.

Widownia ryczy ze śmiechu.

Diękując za awans na pełnomocnika okręgu, senator Jacek Bogucki nawiązał do podlaskiej tradycji „wpisowego”, zapraszając po spotkaniu na napoje i słodkości.

„A duch puszczy będzie?” – zapytał prezes, budząc aplauz zgromadzonych. Proszę, szef PiS zna się na podlaskim bimbrownictwie!

Najbardziej podoba się żart o normalności: „Chcą, żebyśmy byli krajem nienormalnym. Na przykład chcieliby, przy całym szacunku, żeby te 3 młode panie, które tam siedzą, nagle ogłosiły się mężczyznami”.

Żartowniś i widownia chichoczą. Żartowniś gładko przechodzi do poważnego podsumowania: „Mówi się: prawo wyboru. Ale czy my w życiu wszystko wybieramy? Proszę państwa, jak ja miałbym wybierać, to paru rzeczy bym sobie nie dodał? Ale niestety nie mogłem wybierać, Bóg dał to, co dał. Więc, krótko mówiąc, proszę państwa, to są urojenia, to są brednie”.

Artyści

Część artystyczną przygotowują panie z kół gospodyń wiejskich w ludowych strojach oraz dzieci. Występy są przed spotkaniem i po spotkaniu. Przed – żeby umilić oczekiwanie, bo prezes zwykł się spóźniać.

W Bielsku Podlaskim szyku zadawały „Kaczynianki” z gminy Czyżew. Nazwa koła gospodyń



wiejskich jest uprawniona: pod Czyżewem leży Kaczyn, do którego przed kilkudziesięcioma laty bracia Kaczyńscy wpadali do krewnych na wakacje. Burmistrzem Czyżewa jest żona senatora Jacka Boguckiego Anna Bogucka, wygrywająca wybory z 90-procentowym poparciem.

Poczęstunek

Kawa, herbata, woda mineralna, sok, paluszki. Każdy może się poczęstować i pogadać ze znajomkami, zanim wyjdzie na zewnątrz i rozpuści się w upale.

Drugi sort

W każdej miejscowości na Kaczyńskiego czekają niechętni mu demonstranci, od pana prezesa odgradzani przez kordony policji.

Kielce. Dopiero gdy manifestanci udawali się do domków na świąteczne rosółki, funkcjonariusze zażądali dokumentów. Dyskretnie.

„Na parkingu, gdzie miałam samochód, czekało na mnie czterech tajniaków. Wyjaśnili, że naruszyłam art. 51 kodeksu wykroczeń, czyli zakłóciłam porządek i spokój publiczny” – opowiadała mediom Beata Molik.

Mężczyźni zarekwirowali nagłośnienie. Czy to byli policjanci? Dziś wiadomo, że tak. Rzecznik prasowy policji oświadczył, że głośnik bezprzewodowy jest dowodem w sprawie „szerzenia słów nieprzychylnych i wulgarnych podczas zgromadzenia”.

Polszczyna była też powodem policyjnej interwencji w Inowrocławiu.

„Psie jebany. Jebnij mi z tego gazu, psie, no, jebnij, psie. Jesteś pizda, spaliłeś ten mundur...”

– zagadał młody człowiek do policjantów, gdy limuzyna z prezesem ruszyła z parkingu.

Policjant użył miotacza gazu pieprzowego. Czy zachował się prawidłowo? Mariusz Kamiński, minister spraw wewnętrznych i administracji: „Znieważenie policjanta jest przestępstwem. Stanowcza reakcja policjanta była uzasadniona i zrozumią”.

Prezydent Ryszard Brejza: „Zachowanie mogłoby ująć tylko w państwach putinopodobnych”.

Helsińska Fundacja Praw Człowieka: „Policjanci muszą być przygotowani na to, że nie wszyscy ich lubią”.

Policjanci może tak, ale Kaczyński?!

– Kolega sięgnął po gaz, dopiero kiedy zaczęli obrażać prezesa Kaczyńskiego – twierdzą policjanci z Bydgoszczy.

To prawda. Dowodem jest nagranie TVP Bydgoszcz.

„Ty, kurwa, frajerska gnido jebana, jesteś taką pizdą, jesteś, kurwa, takim śmieciem jebanym, takim samym jak ten frajer, który odjechał” – brzmi monolog agresora. Już wiadomo: mężczyzna odpowie za niewykonanie poleceń policjantów i znieważenie ich. Kaczyńskiego splugawił za darmo.

Pokłosie

Wychodzący ze spotkań są zadowoleni. Słysze: – Żywa inteligencja, jak na ten PESEL.

– Jest idealistą, wierzy w ludzi i Polskę, to ważne.

– Nie brzydzi się ludzi, ściska dłoń. Jedną babkę po spotkaniu w Bielsku nawet w rękę pocałował. Może z Kaczyna przyjechała?

– Jedyne, co można poprawić, to spontan. Za sztywno było.

Jedna zaczepiona przeze mnie osoba myśli inaczej.

– Kwachu to chlał wódę, a Kaczor to nie wiem, co wciąga, ale wziąłbym namiary na dileta – mówi młody chłopak z Bielska Podlaskiego tuż po sfotografowaniu się z prezesem. Zdejmuje koszulkę z logo PiS-u. Taka koszulka to był warunek znalezienia się na wspólnej fotografii.

Lokalni politycy kombinują, jak się na Kaczyńskim pożywić. Takie matka partia postawiła przed nimi zadanie.

W Inowrocławiu nagrano Grzegorza Kaczmarka, wiceprzewodniczącego rady miejskiej. Był pod filharmonią zamiast w środku na spotkaniu z prezesem. Stał obok młodych ludzi w czarnych podkoszulkach z napisami: „Kaczyński, Morawiecki, jebać was, Judasze, i działania wasze”. Zamiast zareagować i nakazać zdjąć, śmiał się. Miał mruknąć: „Gówno”. Trudno powiedzieć, co komentował, bo filmik udostępniany przez PiS trwa tylko kilkanaście sekund.

PiS domaga się odwołania Kaczmarka. Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy... To znaczy dał przykład Paweł Grzybowski, burmistrz Rypina. Wyrwał transparent z rąk starszego mieszkańca, bo obrażał gościa, w tym wypadku Morawieckiego. Jak na tym tle wypada Kaczmarek?!

Damian Polak, inowrocławski radny z PiS-u, utrzymuje, że nieważne, co przewodniczący miał na myśli, używając słowa na „g”. Pełni „funkcję reprezentatywną”, powinien więc mówić „kupa”.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

PO-PIS-OWE CHOCHOLENIE

Może to efekt anomalii pogodowych, ale nie macie wrażenia, że polskie życie polityczne opanowała tego lata nowa jakość szaleństwa?

O odlotach Jarosława Kaczyńskiego piszę od kilkunastu miesięcy – ale doprawdy wywołanie wojny z Niemcami akurat w tej chwili wydaje się powodem do szczególnej troski. Prezes Prawa i Sprawiedliwości, który uważa się za wybitnego państwowotwórczego myśliciela zanurzonego w historii, powinien jako żywo pamiętać, co dzieje się z krajami, które wojują z Niemcami i Rosją naraz. Jego historycznie antyniemiecka retoryka przybiera na sile: „Niemcy mają wspaniałą tradycję demokratyczną, z Hitlerem na czele”; celem Niemiec jest „trzymanie nas pod butem”; Niemcy są „niezwykle destrukcyjnym elementem w Europie”; wyważona polityka Berlina wobec Moskwy to efekt „kompromatów”, którymi Putin szantażuje niemieckich polityków, a Polacy, którzy nie nienawidzą Niemców, cierpią na syndrom sztokholmski, czyli „miłość ofiary do kata”, oraz są „kompletnie zdegradowani moralnie”. To oczywiście rozprzestrzenienie się jak pożar w suchym lesie i facci tacy jak Brudziński uważają, że wolno żartować sobie z Niemców, którzy „dzielili się z nami swoim gazem podczas II wojny światowej”. To jest jeden z tych bon motów, które nawet trudno komentować – ale trzeba mieć świadomość, że Brudziński nie jest jakimś młodzieńczym oszołomem czy tępowym dworzaninem Nowogrodzkiej z IQ widelca. Jest cynicznym, doświadczonym politykiem i jeśli mówi takie rzeczy, to dlatego, że wie, że uchodzi, a nawet wypada.

1. Golf

Ale to przecież nie koniec. Jednocześnie z wymyślaniem Niemcom od hitlerowców władza nasza ukochana wzięła się za wymyślanie Ukraincom. Akurat w dniu, w którym prezydent Zelenski ogłosił, że w stosunkach między naszymi krajami „osiągnęliśmy najwyższy poziom zaufania i współpracy”, i skierował do Werchownej Rady projekt ustawy o nadaniu obywatelom Polski na Ukrainie specjalnego statusu – premier z prezydentem postanowił hucznie czcić 79. rocznicę rzezi wołyńskiej, żądając od Ukrainców, żeby się wstydzi.

Nie należy, jak być może Państwo wiedzą, do chóru wielbicieli Ukrainy i entuzjastów teorii, że Rosja powinna zniknąć z powierzchni ziemi, ale nawet ja widzę, że Ukraincy mają w tej chwili nieco pilniejsze sprawy niż wstydzenie się za zbrodnię z roku 1943. Za cholerę nie rozumiem, czemu mianowicie miało służyć to antyukraińskie przedstawienie w wykonaniu głów państwa i rządu; i czy doprawdy nie można z nim było poczekać do 80. rocznicy, która – wszyscy mamy nadzieję – przypadnie już w spokojniejszych czasach, w okresie powojennej odbudowy kraju naszych sąsiadów.

Do tego dokładają się drobne, chociaż kuriozalne zachowania mniej ważnych kaczystów: burmistrz Rypina niczym kobra atakujący obywatela z karykaturą Pinokia; radna Jacyna-Witt chwalać się na Twitterze, że zamiast „harać w pospolitą gałę”, gra w golfa,

jak przystało na „elitę”; kretynska interwencja europosła Jakiego, który wezwał dziennikarkę TVN 24 do Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie nie pracuje od trzech lat, żeby jej unaocznic, co może ją spotkać, jeżeli będzie źle pisać o jego tatusiu. W jakim świecie Jaki mógł przypuszczać, że dziennikarka wrogiej stacji da się zastraszyć zamiast poinformować cały świat o nadużyciu przez niego jego dawnego stanowiska? Jakie rozumowanie doprowadziło burmistrza Grzybowskiemu do wniosku, że wyrwanie obywatelowi antyrządowego transparentu na oczach kamer to skuteczny sposób na ochronę czci premiera? Co skłania radną partii zbudowanej na krytyce elit do zwracania się do suwerena słowami: „Żal dupę ścisła? Kompleksy dławia? Jakoś trzeba z tym, chanie, żyć”?

2. Tydzień

Ale – żeby nie było tak różowo – odlatuje nie tylko władza. To, co dzieje się w ostatnim czasie z Donaldem Tuskiem, powinno być źródłem z troski tych wszystkich, którzy uważają, że jest on nadzieją dla demokracji.

Jestem przekonana, że po siedmiu latach rządów PiS i piątych kolejnych wygranych przez tę partię elekcjach opozycja powinna przemyśleć swoją strategię, albowiem prosty antypisizm – którego Tusk jest niekwestionowanym liderem – to po prostu za mało. Ale mam poważne wątpliwości co do tego, czy radykalny skręt w lewo, zaprezentowany przez jednego z ojców polskiego liberalizmu, przekona kogokolwiek.

Postulat 4-dniowego tygodnia pracy jest postulatem bezdyskusyjnie słusznym – ale nie jestem pewna, że Tusk go do końca rozumie. Jest to bowiem postulat klasowy, bezpośrednio związany z konfliktem interesów między pracownikami i kapitałem. Prosta prawda jest taka, że mimo olbrzymiego wzrostu wydajności przez ostatnie 100 lat pracujemy tyle samo godzin, co oznacza, że premię z tego wzrostu zgarniają właściciele firm. Skrócenie czasu pracy przy zachowaniu pensji nieco sprawiedliwiej rozkłada podział wartości dodanej między pracę i zyskiem. Ma też oczywiście inne walory: gdy praca jest tania i pracownicy uwiązani są w robocie przez 8 godzin dziennie, firmy nie mają motywacji do inwestowania w innowacyjny sprzęt, który tę pracę może ułatwić i skrócić. Nakłady na działalność badawczą i rozwójową w Polsce wynoszą zaledwie 1 proc. PKB; 2 razy mniej niż średnia europejska, 3 razy mniej niż w Niemczech. To nie jest droga do dynamicznego rozwoju...

Oczywiście skracanie czasu pracy przynosi również takie efekty, które leżą w interesie przedsiębiorców – rozmaite programy pilotażowe wskazują, że w krótszym tygodniu wydajność nie tylko nie spada, ale wręcz wzrasta, bo ludzie lepiej się organizują, są mniej zmęczeni i ogólnie szczęśliwsi. Ale głównym beneficjentem tych zmian są pracownicy; i to jest też powód, dla którego szeroko pojęci „pracodawcy” odruchowo najeżają się na tego typu postulaty. Teraz zatem

partyjni koledzy i prasowi apologety Tuska stają na głowie, żeby wytłumaczyć, że wcale nie powiedział tego, co powiedział,

że program ma być wyłącznie pilotażowy, plan jest bardzo długofalowy, zgodny z trendami europejskimi i biznes na nim nie straci... Co z kolei otwiera pole dla Lewicy, np. z partii Razem, która o skracaniu czasu pracy mówi od lat. Za co obrywało jej się od partyjnych kolegów Tuska – np. Borysa Budki, który z właściwą sobie błyskotliwością komentował: „Ja proponuję 7 godzin pracy w tygodniu! Albo nie – w miesiącu. Będzie więcej czasu na rozwój osobisty i odpoczynek. Kto za?!”, opatrząc tweet protekcyjnym hashtagiem #EkonomiaGłupcze. Teraz Adrian Zandberg odpowiada na zmianę trendu w myśleniu Tuska raczej trafnie: „Sugeruję jednak głos na ludzi, którzy ten program pisali, a nie zwalcza!”.

3. Blaga

Z drugiej strony przewodniczący PO próbuje wyraźnie ekscytować

swój najwierniejszy antypisowski elektorat coraz bardziej dziwacznymi opowieściami. A to o tym, że usunie prezesa Narodowego Banku Polskiego, bo „jest nielegalny”, toteż „nie będzie ani jednego dnia dłużej prezesem NBP i nie trzeba będzie ustawy” i „ja to zrobię, ja to wam gwarantuję”; a to o tym, że „skończy się PiS, skończy się drożyzna”. To deklaracje, które są, delikatnie mówiąc, obelżywe dla inteligencji słuchaczy. A przynajmniej by były, gdyby ktoś traktował je poważnie. Jednak – jak trafnie uważa Rafał Kalukin w „Polityce” – „to oczywiście blaga; klaszczący aktyw na trybunach też to oczywiście wiedział (...), liczyła się jednak wyłącznie intensywność wspólnotowego przeżycia”.

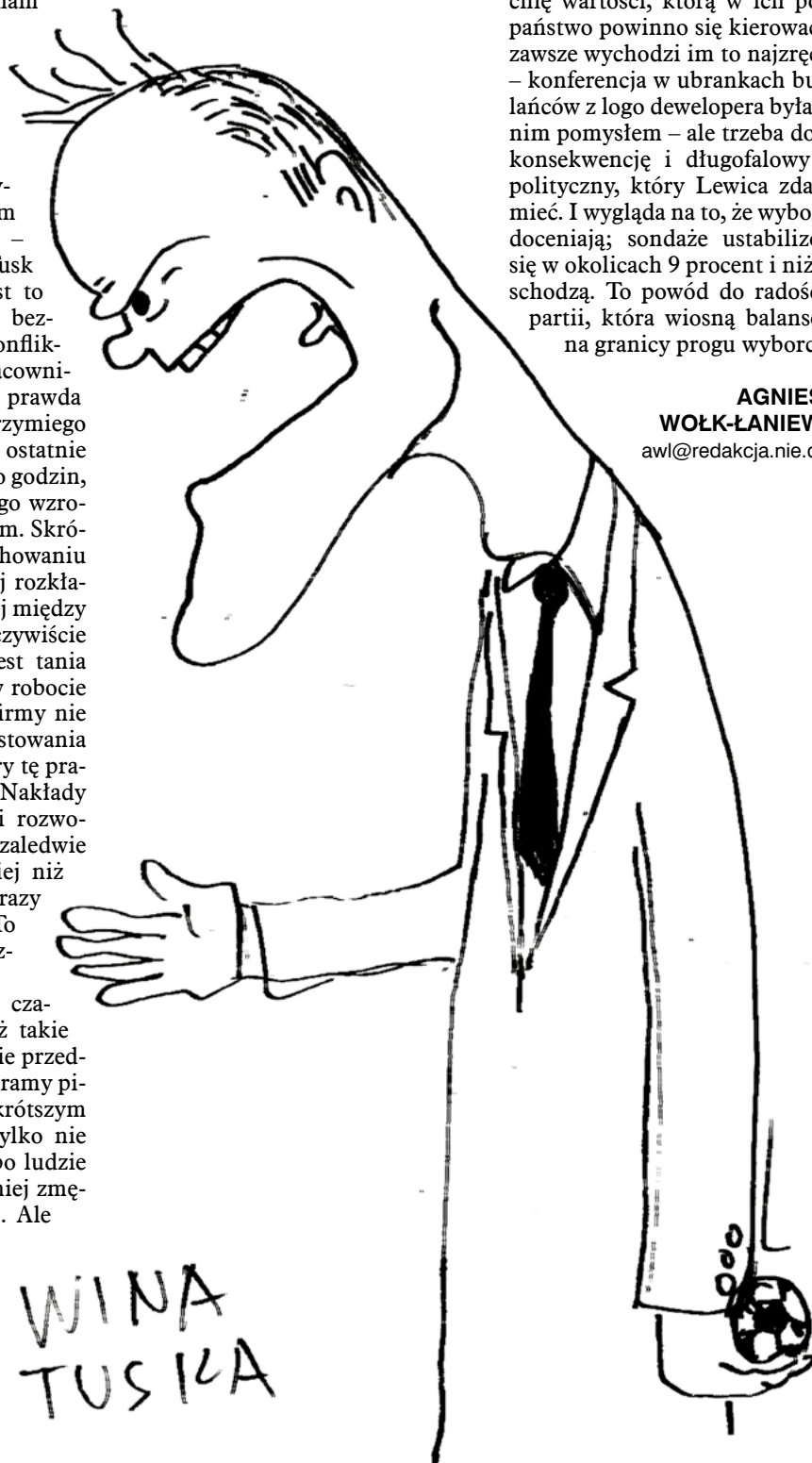
Teza Kalukina – dość odważna w tym antypisowskim mainstreamie, który w Platformie dostrzega drogę do zbawienia – jest taka, że powtarzane od roku wymierzone we władzę diatryby Tuska służą zdyscyplinowaniu i zmotywowaniu rozlażlej partii, którą odziedziczył po Budce. I w tym zakresie są skuteczne – co pozwoliło PO na odzyskanie przywództwa na opozycji i pozamiatanie najbardziej bezpośredniego zagrożenia, jakim jeszcze rok temu był Hołownia. Jednak nawet jeśli tak rzeczywiście jest, to metody, po które Tusk sięga w swoich próbach przebicia sufitu, są coraz rozpaczliwsze.

4. Radość

Chocholi taniec między Kaczyńskim i Tuskiem osiąga tego lata nowy poziom abstrakcyjności. Dobra wiadomość jest taka, że może to stanowić otwarcie dla innych ugrupowań.

W tym Lewicy, która radzi sobie ostatnio całkiem nieźle, od kilkunastu tygodni ustępując Hołowni zaledwie jednym punktem procentowym. To zgrało się z programową ofensywą opartą na wyraźnej innej koncepcji: lewicowi politycy zgłaszają konkretne propozycje programowe i prezentują hierarchię wartości, którą w ich pojęciu państwo powinno się kierować. Nie zawsze wychodzi im to najrzędniej – konferencja w ubrankach budowlanców z logo dewelopera była średnim pomysłem – ale trzeba docenić konsekwencję i długofalowy plan polityczny, który Lewica zdaje się mieć. I wygląda na to, że wyborcy to doceniają; sondaże ustabilizowały się w okolicach 9 procent i niżej nie schodzą. To powód do radości dla partii, która wiosną balansowała na granicy progu wyborczego.

AGNIESZKA
WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl



MÓZDZEK TYGODNIA

Mariusz Muszyński jest dublerem w trybunale magister Przyłębskiej oraz byłym łapsem z Urzędu Ochrony Państwa i Agencji Wywiadu. W roku 2017 prezydent Duda zaprzysiął go na wiceprezesa Trybunału Konstytucyjnego.

Po kolejnej odsłonie afery z wyciekami mejli Dworczyka z jego prywatnej skrzynki – chodzi o to, że Dworczyk spotykał się z Przyłębską, żeby ustalić terminy posiedzeń TK – Muszyński wydał na swoim blogu oświadczenie.

Fragmenty:

• „Upieram się, by nie łączyć mnie z ustaleniami, jakie mogły zapaść na tych spotkaniach”;

• W obu [omawianych przez Przyłębską i Dworczyka sprawach] byłem przewodniczącym składu orzekającego. Więcej na temat procedowania w tych sprawach i ewentualnych prób wpływów mogę powiedzieć po zwolnieniu z tajemnicy służbowej przez stosowne organy”;

• „Zaznaczam również, że nie podzielam spojrzenia Pani Prezes na rolę TK, sposób procedowania przed TK, jak i na rolę sędziego w życiu polityczno-społecznym Polski. A przede wszystkim uważam, że moja znajomość i rozumienie Konstytucji różni się jednak horrendalnie od znajomości i rozumienia tego aktu przez Panią Prezes”.

Co jest, kurwa? – zapyta ktoś, kto myśli, że zna układy w zgromadzeniu ludzi z wykształceniem prawniczym, którzy uważają się za Trybunał Konstytucyjny. Przecież Przyłębska i Muszyński pili sobie z dziobków. Co się stało, że zastępca pani magister – notabene zastępca w stopniu doktora habilitowanego – występuje przeciwko niej?

Albo Muszyński jest głupkiem, który nie wie, co czyni (tak jak w korespondencji z premierem Morawieckim, gdy podpisywał się imieniem starorzymskiego polityka Luciusa Domitiusa, według Swetoniusza „człowieka rozrutnego, okrutnego, a zarazem zarozumiałego”), albo wie, że Przyłębska jest na aucie i będzie potrzebny nowy prezes TK.

Po głębokim zastanowieniu stawiamy na to pierwsze. □

Gdzie
są te
dzieci?



Facebook

Piotr Słowik: Na pewno nie w mojej piwnicy, już to wyjaśniałem na policji, przysięgam.

Dariusz Banasik: Gdzie są te mieszkania, na które stać młodych ludzi? Gdzie są te tanie kredyty? Gdzie jest ta płaca, za którą można normalnie funkcjonować? Najbardziej beczelny billboard, jaki widziałem w ostatnich latach.

Alina Chmielnicka: Mają dopiero 11 tygodni i lansują się na billboardach.

Marcin Grochala: Na razie lądują w gumowej sakiewce, bo tatuś i mamusia ciągle czekają na obiecanie 100 tysięcy tanich mieszkań.

Marcin Filip Maziarz: Jak się dowiedział, że mają żyć w Polsce, to zrezygnował.

Maciej Dadej: Zbierają jagody na pierogi dla młazszącego na zlecenie Julii P.

Tomasz Pawlik: Na białoruskiej granicy.

Diana Kolbert: Przeniesione do innej parafii.

Olga Łojewska: Tam, gdzie te prywatki.

Agnieszka Frustra Mlynarczyk: Na dworcu zoo.

Bartosz Toszecki: W Bullerbyn!

Forum

Jan_Pawel: A kto pyta? Ksiądz?

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

Dobra wiadomość: w Polsce przybędzie inżynierów.

Akademia pana Leksa

Opozycja chóralnie narzeka na reformy Przemysław Czarneka, załamując ręce nad stanem polskiej edukacji. Opozycjoniści powiadają: kto by pomyślał, że zatęsknimy za Romanem Giertychem. Jest to tęsknota podwójna, bo część polityków i wyborców antypisu chętnie widziałaby mecenasa w nowej roli w Polsce po Kaczyńskim. Zamiast musztrować gówniarzy i wsadzać ich w mundurki jako minister edukacji, miałby teraz – już jako prokurator generalny – wyłapywać skrytych w mysich norach kaczyzistów i posyłać ich do pierdzenia w pasiak.

Czarnek w roli Giertycha 2.0 sprawuje się znakomicie, chociaż na razie nie przyszło mu na myśl zakładać dziatwie uniformów. Pracuje jednak wytrwale nad uniformizacją myślenia, żywiąc wielkie nadzieje związane z metodą kija, wegańską marchewkę uznając zaś za część lewackiej agendy. Łącząc w sobie poglądy Giertycha we wczesnym stadium rozwoju i niezmienną determinację Ziobry, Czarnek odnawia oblicze szkoły. Tej szkoły...

Witajcie! W naszej bajce

O „lex Czarnek”, czyli sztandarowym projekcie ministra, tęższe głowy powiedziały już wiele. Kombinujący przy prawie oświatowym Przemysław Czarnek chce tak zorganizować szkolną przestrzeń, aby nie było w niej miejsca dla treści innych niż te zaakceptowane na Nowogrodzkiej. Plany trochę pokrzyżował mu Duda, wetując pierwszą wersję „lex Czarnek”, ale minister robił wszystko, aby nowa wersja weszła w życie przed końcem wakacji. „**Szkoła jest miejscem pracy nauczycieli. Jeśli dodatkowo mają tam być organizacje pozarządowe i mają uczyć na zajęciach dodatkowych, to oczywiście pod nadzorem kuratora, bo kurator jest organem nadzoru pedagogicznego, ale w szczególności pod pełnym nadzorem rodziców**” – streścił główne założenie swojego projektu w Radiu Maryja. Kuratorami zaś mają być oczywiście postacie w typie Barbary Nowak z Krakowa, która lewactwu się nie kłania, za to Kaczyńskiemu kłania się w pas.

Czarnek postępuje tak, jak gdyby szkoła była jedynym bądź głównym generatorem treści są-

czonych w głowy młodego pokolenia. Jeśli nie uda im się ograniczyć internetu i mediów społecznościowych (a tego nigdy nie można wykluczyć, choćby pod pretekstem troski o bezpieczeństwo w czasie zagrożenia wojną), to zajęcia szkolne nadal pozostaną tylko niezbyt miłym obowiązkiem dla wszystkich, poza entuzjastami poszczególnych przedmiotów. Im więcej Jana Pawła II i kardynała Wyszyńskiego, tym mniej przyswajalna będzie ta siemiężna papka. Fragmenty nowego podręcznika do przedmiotu zwanego HiT (historia i terażniejszość) udowadniają, że pisowcy niczego się nie uczą.

Słoń zagra na fujarcie

O ile na ten podniosły bełkot łapią się słuchacze Radia Maryja i przyklaskują wszystkiemu, co zawiera odmiennie przez przypadki frazy „Kościół” i „Polska”, o tyle z młodzieżą szkolną może być problem. Katowane na jedną melodię kazania są dla betonowego elektoratu PiS miodek na uszy, bo – jak inżynier Mamoń z „Rejsu” – lubią tylko te pio-senki, które już znają. Ale co się sprawdza u betonu, może nie być atrakcyjne dla tych, którzy potrafią więcej niż chodzić i oddychać jednocześnie. Dla ekipy Czarnka ważniejsze jest jednak obdarowanie dotacjami wyciągniętych z jaskiń ekspertów niż rzeczywiste wtłoczenie do łbów własnej wizji świata. To już Kurski lepiej się sprawdza na odcinku propagandy, umiejętnie dostosowując przekaz do odbiorcy. Czarnek zachował w pamięci feudalne stosunki na linii nauczyciel–uczeń, w których pierwszy ma jakiś autorytet, a to, co powie, jest święte. Tymczasem model ten uległ radykalnej zmianie i nawet próby dyscyplinowania podjęte przez Giertycha nie zaowocowały szczególnym sukcesem, poza protestami pod hasłem „**Giertych do worka, wór do jeziora**”. Jeżeli ktoś nie ma za młodu ambicji zo-

stania w przyszłości partyjnym aparatchykiem, to będzie te bogoojczyźniane katechizmy zlewał.

Pinokio nam zaśpiewa

Morawiecki chce rechrystianizacji Europy, bo „**niestety w wielu miejscach nie śpiewa się kołęd, kościoły są puste i są zamieniane na muzea**”.

Czarnek ma skromniejsze ambicje. Minister odpowiedzialny za uczelnie wyższe chciałby zaprowadzić swoje porządki także na uniwersytetach. A może zwłaszcza tam, bo o ile na niższych szczeblach edukacji ideologiczna gangrena nie jest tak widoczna, a katecheza trzyma się mocno, o tyle na uczelniach pleni się wirus marksizmu i genderyzmu. To, jaką opinię ma Czarnek na temat LGBT, wiadomo. „**Skończmy dyskusję o tych obrzydlistwach: LGBT, homoseksualizmie, biseksualizmie, Paradach Równości. Brońmy rodziny, bo brak obrony rodziny prowadzi do tego, co państwo widzicie (...). Brońmy rodziny przed tego rodzaju zepsuciem, deprawacją, absolutnie niemoralnym postępowaniem, brońmy nas przed ideologią LGBT i skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejs równości. Ci ludzie nie są równi ludzom normalnym i skończmy z tą dyskusją**” – apelował swego czasu w TVP Info.

Tymczasem na uniwersytetach – uważa Czarnek – panuje genderowy terror politycznej poprawności.

Zainfekowani wirusem kulturowego marksizmu studenci i część kadry profesorskiej skazują na banicję wszelkiego rodzaju prawicowe i katolickie odchylenia.

Podczas Kongresu Pedagogiki Chrześcijańskiej w czerwcu zeszłego roku minister edukacji i nauki stwierdził, że „**chrześcijanie boją się wypowiadać swoich tez, opartych na chrześcijaństwie, bo boją się postępowań dyscyplinarnych ze względu na rzekomą dyskryminację «niechrześcijan»**”. Ostatnio zaś w Opolu, gdzie został tzw.

wojewódzkim opiekunem struktur Prawa i Sprawiedliwości, mówił: „**Samo równe traktowanie jest absolutnie pożądane i jesteśmy za tym, by w każdej uczelni dbano o to, by wszyscy byli równo traktowani. Natomiast jeśli to miałyby być dyskryminujące dla chrześcijan, dyskryminujące dla ludzi, którzy mają inne poglądy niż środowiska LGBT, tego zabrania prawo**”.

Podobne historie snuje Ordo Iuris, stowarzyszenie bliskie ideologicznie i towarzysko Czarnkowi. Gdy pod koniec maja Senat Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu pozytywnie zapiniował projekt „Polityki równościowej i antydyskryminacyjnej”, ostro zareagował prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski, stwierdzając, że „**przejście szkół i uczelni przez radykalne ideologie, zaprowadzenie tam cenzury i wprowadzenie sankcji za głoszenie prawdy to koniec wolnej nauki oraz deformacja umysłów całego pokolenia studentów**”. Szczególnie nie spodobał mu się rzeczywiście dość kontrowersyjny zapis uznający, że „**przykładem molestowania lub molestowania seksualnego może być umyślne używanie niewłaściwego imienia lub zaimka w odniesieniu do osoby transpłciowej lub odwoływanie się do jej tożsamości płciowej**”. Daje on w sumie możliwości udupienia profesora przez studenta. Tak działają radykalizmy, zwłaszcza gdy się ściągają w jednym miejscu.

Zatańczą wkoło drzewa

Dobra wiadomość jest taka, że to wszystko może wyjść Polsce na dobre. Ambitny uczeń, molestowany z jednej strony katolickim fundamentalizmem od szkoły podstawowej, zwalczanym pod tęczą flagą z drugiej, może mieć mętlik w głowie. 2 razy się zastanowi, zanim wybierze studia humanistyczne, które są przeciwieństwem głębi dla sączenia indoktrynacji. Chcąc więc uniknąć takiej sytuacji, wybierze studia na politechnice, gdzie pole do popisu dla agitatorów jest mniejsze, choć niewątpliwie znajdują się tacy, co wplotą Jana Pawła II do wytrzymałości materiałowej czy Wyszyńskiego do matematyki dyskretniej, ale ryzyko jest mniejsze. To wariant przetestowany choćby w Związku Radzieckim. Spora część radzieckich dysydentów miała wyższe wykształcenie ścisłe lub techniczne, mimo że interesowały ich sztuka, historia i polityka, ale nie te wykładane na państwowych uniwersytetach.

Może więc i my dorobimy się grona fachowców do spraw pożytecznych. Specjalistów w wąskich dziedzinach, wszechstronnych dzięki prywatnym zainteresowaniom. Trzeba się jakoś pocieszać.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

PiS może być przyczyną wielu groźnych chorób, również śmiertelnych.

W ostatnich pięćdziesięciu latach umieraliśmy w liczbie średnio 366 tysięcy osób rocznie. W zeszłym roku przeszliśmy samych siebie: umarło nas o 154 tysiące więcej niż zazwyczaj. Znaczący to – o ile Główny Urząd Statystyczny nie kłamie – że do bozi powędrowało w 2021 roku 519,5 tysiąca Polaków.

Zeszły rok charakteryzował się tym, że od jego początku można się było szczepić przeciwko koronawirusowi. W roku 2020 szczepionek jeszcze nie było. A mimo to w 2021 kosztucha dopadła o 42 tysiące Polaków więcej niż rok wcześniej. Gdyby te 2 lata pandemii wyglądały w statystykach śmiertelności odwrotnie, przypieprzenie się nie miało by sensu. Bo oczywiście: żaden system ochrony zdrowia na coś takiego przygotowany nie był. Jednak pandemia – czy to początkowo tylko w telewizji, czy od marca 2020 r. w realu – dawała lekarzom i specjom od polityki zdrowotnej czas, żeby nauczyć siebie i potencjalnych chorych tego, co zrobić, żeby nie umrzeć.

Nikogo nie nauczyła i w statystykach śmiertelności covidowej w 2021 r. brylowaliśmy wśród krajów mających się za cywilizowane. Liczba zgonów na 100 tysięcy osób w roku, w którym o koronawirusie wiedzieliśmy prawie wszystko, osiągnęła wartość większą o blisko 117 w stosunku do roku 2020. Po czymś takim nie tylko minister Niedzielski, ale cały pisowski rząd powinien zostać przez ulicę pogoniony. Ulica tymczasem ułała umierać na własne życzenie, z nienachalnym



przyzwoleniem władzy. O braku egzekwowania sankcji, nieprzymuszaniu do szczepień i robieniu dobrze żądania antyszczepionkowców chyba jeszcze pamiętamy...

Główną przyczyną wzrostu liczby zgonów w Polsce w 2021 r. była oczywiście pandemia, której kolejne fale osiągały szczyty na przełomie marca i kwietnia oraz w grudniu. W 2020 r. z powodu COVID-19 zmarło w Polsce blisko 41,5 tysiąca osób, co stanowiło niespełna 9 proc. wszystkich zgonów. W 2021 r. liczba zgonów z powodu koronawirusa wzrosła ponad dwukrotnie, osiągając poziom ponad 91 tys.

Gdyby jednak od wszystkich śmierci odjąć w obydwoh pandemicznych latach te koronawirusowe, to dopiero wtedy wychodzi to, co PiS rękami Ra-

dziwiła, Szumowskiego i Niedzielskiego narobiło.

Gdyby bowiem za normę ostatnich przedpandemicznych lat (co jest istotne, bo demografia wskazuje, że zaczynamy być populacją ludzi starych) przyjąć umieralność na poziomie 400–410 tys. osób rocznie, to rok 2020 daje nam górkę ponad trzydzieści tysięcy niecovidowych nieboszczyków więcej, niż być ich powinno.

Zeszły rok był dla niecovidowej kosztuchy podobny. Bez pomocy koronawirusa ziemski padół opuściło około 430 tysięcy Polek i Polaków. Pandemiczny paraliż służby zdrowia nie tłumaczy tych wszystkich zgonów, szczególnie zaś śmierci w roku 2021. Zdaniem specjalistów od leczenia tych latych odpowiadają nie teleporady, pozamykane szpitale i ucieczka

personelu medycznego na L-4 do czasu zapłacenia mu dodatków covidowych.

15–20 tysięcy ludzi zmarłych na różne choroby mogłoby żyć, gdyby system działał, a nie był nieustająco sterowany ręcznie przez resort zdrowia.

Ciągle zastępowanie refundacji jednych leków innymi, wykreślanie kolejnych procedur medycznych, likwidacja części programów profilaktycznych i zastępowanie ich takimi, z których nikt nie korzysta, robią swoje – zabijają Polaków.

COVID-19 i reszta w 2021 r. skosiły o 11 procent więcej niż rok wcześniej osób w wieku 65–74 lata. Umierając, młodzi emeryci odciążyli ZUS i nie nacieszyli się trzynastkami, tudzież czternastkami. Te zgony na pewno rząd ucieszyły. Reszta dorosłych umierała rok temu w stosunku do poprzednich dwunastu miesięcy jedynie o kilka procent liczniej. Z jednym niekorzystnym dla fiskusa i ZUS wyjątkiem osób z przedziału 40–44 lata, których wymarło o 10 procent więcej niż rok wcześniej. Powiedzmy, że niezdiagnozowane w 2020 r. choroby i koronawirus wszystko to jakoś tłumaczają... Nie istnieje jednak dla polskiej służby zdrowia żadna okoliczność łagodząca dla tego, że w roku 2021 umarło o 8 procent więcej dzieci w wieku do czterech lat. Pandemia dzieci się nie imiała, maluchy musiały więc zabić niedowład polskiej medycyny.

Statystyki medyczne wszystko to zamiotły pod dywan. Co prawda w obydwoh pandemicznych latach głównymi przyczynami zgonów były choroby układu krążenia i choroby nowotworowe, ale obie grupy chorobowe odpowiadały jedynie za nieco ponad połowę wszystkich zgonów. W stosunku do 2020 r. w roku 2021 udział ten obniżył się o prawie 6 proc. Statystyka odnotowała spadki niemal we wszystkich klasach przyczyn zgo-

nów. Oczywiście dlatego, że zgony z powodu COVID-19 stanowiły blisko 18 proc. Jeśli ktoś miał zawał, ale stwierdzono u niego koronawirusa, to umierał na COVID-19. Z wylewem – podobnie.

Według danych GUS współczynnik zgonów na 100 tysięcy ludności z powodu COVID-19 dla mężczyzn był o blisko 50 proc. wyższy niż dla kobiet. Jak to tłumaczyć ministerialni specjaliści? Wynika to z „**gorszej kondycji zdrowotnej mężczyzn w Polsce, którzy bardzo często zaniedbują badania profilaktyczne i obarczeni są licznymi nieleczonymi schorzeniami**”.

Danych mówiących, że zgony na COVID-19 *per capita* u mieszkańców miast były o ponad 50 proc. częstsze niż u mieszkańców obszarów wiejskich, nikt nie komentował, bo nawet Ministerstwo Zdrowia nie próbowało wciskać kitu, że opieka medyczna wobec mieszkańców wsi jest dwakroć lepsza niż dla miastowych, a włościanie dbają o profilaktykę bardziej niż mieszczyuchy.

Ściemy resortu zdrowia w komentowaniu statystyk zweryfikuje ten rok. W nim nieboszczyków z powodu koronawirusa mamy już około 16 tysięcy. W całym pierwszym półroczu zmarło już łącznie ponad 230 tysięcy Polaków. Z reguły od lipca do grudnia umiera u nas nieco więcej ludzi niż w pierwszych miesiącach, zatem i ten rok zakończymy wynikiem znacznie przekraczającym liczbę 460 tys. zgonów. Znowu umrze 50 tysięcy Polaków więcej, niż zakładano. Minister Niedzielski będzie chwalił program powszechnych badań, z których mało kto skorzystał, a Kaczyński będzie popychał dyrdymały o wracających do kraju z Zachodu lekarzach. Nic się nie zmieni: mnóstwo chorych i seniorów końca inflacji nie doczeka.

TADEUSZ JASIŃSKI

Niech minister sprawiedliwości już dziś smaruje dupę smalcem...

Minister Ziobro jest urzędnikiem wielozadaniowym. Oprócz toczenia osobistej wojny z własnym przełożonym, prezesem Rady Ministrów, oraz całą Unią Europejską znajduje czas na to, żeby dopierdolić więźniom.

Procedowana właśnie w sejmie nowelizacja kodeksu karnego wykonawczego to

ciąg fascynujących wprawek

w drobnym sadyzmie; co jest zapowiedziane już w opisie projektu ustawy, widniejącym na stronie sejmowej: projekt dotyczy „**zlikwidowania nadmiernych przywilejów** (tak w oryginale) **więźniów**”. Nadmierne przywileje to zdaniem Ziobry prawo do skargi, telefon do domu i adwokata, wizyta u lekarza i znaczki na listy.

Prawo do skargi na traktowanie w mamrze – którą składa się do dyrektora mamra lub mianowanej przez niego i podległej mu komisji penitencjarnej – to zdaniem Ziobry niepotrzebne zawracanie głowy. Nowy przepis stanowi, że nie rozpatruje się skarg „**oczywiście bezzasadnych**”. Helsińska Fundacja Praw Człowieka przestrzega, że ten dość swobodny zapis może sprawić, że bez rozpatrzenia pozostaną skargi w „**sprawach szczególnie drażliwych dla administracji penitencjarnej**”, zwłaszcza „**dotyczące zarzutów znęcania się przez funkcjonariuszy Służby Więziennej nad osobami pozbawionymi wolności**”. I jako żywo w uzasadnieniu projektu jest napisane mniej więcej wprost, że o takie właśnie skargi chodzi: wśród przykładów skarg oczywiście bezzasadnych wymienia się te, które dotyczą „**prewencyjnego użycia środków przymusu bezpośredniego**”.

Ziobrowy resort odpowiada hardo, że jęczenie osadzonych sprawia, iż „**pracownicy SW w sposób nieefektywny wykorzystują swój czas pracy**”. Dodaje także, że „**oczywista bezzasadność**” wcale nie jest pojęciem dowolnym, bo jego własny Sąd Najwyższy ustalił, że chodzi o taką bezzasadność, która „**nie wymaga szczególnego badania, jest widoczna na pierwszy rzut oka, jest niewątpliwa i wniosek obiektywnie nie może doprowadzić do oczekiwanego przez skarżącego rezultatu**”.

Kiedy Zero trafi do pudła

Cóż... Jak czytamy w uzasadnieniu projektu, „w 2020 r. do organów Służby Więziennej wniesiono ponad 37 tysięcy skarg w sprawach osób pozbawionych wolności (z których jedynie 267 uznano za zasadne)”. Można zatem stwierdzić, że większość wniosków składanych przez więźniów do dyrektorów więzień nie ma szans „**doprowadzić do oczekiwanego przez skarżącego rezultatu**”, ale nie wiemy na pewno, czy czyni je to bezzasadnymi.

Ziobro interpretuje to nieco inaczej: jego zdaniem ta proporcja „**wskazuje na występowanie w warunkach izolacji zjawiska swoistego nadużywania prawa do skargi**”. A może jednak na zupełnie nieswoiste

nadużywanie władzy

wobec osadzonych?

Dodatkowo nowy przepis ogranicza czas na złożenie skargi do siedmiu dni. Jako argumenty na rzecz zasadności tego rozwiązania Ziobro przytacza przykłady: „**skarga złożona w marcu 2021 r. dotycząca warunków socjalno-bytowych i przebywania w warunkach przeludnienia w celi mieszkalnej w latach 2008 i 2013 r.**” czy „**skarga złożona w 2020 r. dotycząca niewłaściwego leczenia w latach 2000–2002**”. Ten drugi przypadek jest akurat „**na pierwszy rzut oka**” wcale nieoczywisty: skutki nieprawidłowego leczenia mogą objawić się po wielu latach, niejednokrotnie zgonem leczonemu. Ale abstrahując od tego przypadku: żeby wyeliminować skargi na nieświeży obiad składane 13 lat po fakcie, nie trzeba ograniczać czasu na złożenie skargi do siedmiu dni; 2 tygodnie, a nawet miesiąc byłyby równie skuteczne, nie pozbawiając przy tym osadzonych istotnych praw.

Obecnie osadzeni mają prawo do jednej rozmowy telefonicznej dziennie – 5-minutowej, jeśli jest to rozmowa z rodziną, parterem czy przyjacielem; nieograniczonej w czasie z adwokatem. Ziobro uznał, że trzeba

ukrócić gadulstwo:

nowelizacja gwarantuje jedną rozmowę w tygodniu. Na protesty rzeczni-



Rys. STAS

ka praw obywatelskich i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, przestrzegających, że stanowić to będzie ograniczenie prawa do obrony, ministerstwo odpowiada, że wręcz przeciwnie, bo do aparatów są kolejki i nie każdy może skorzystać codziennie, a raz na tydzień będzie mógł. W uzasadnieniu projektu Ziobrowy resort podaje liczbę telefonów w poszczególnych zakładach. Np. w areszcie śledczym z Lublinie jest 20 aparatów na 1048 osadzonych, a w Elblągu 2 na 287.

No to może trzeba, kurwa, zamontować więcej telefonów?!

I wreszcie kolejna z mora polskiego więziennictwa, o której nie mieliście pojęcia: znaczki pocztowe. Według nowego przepisu więźniowie mają „**ponosić koszty prowadzenia korespondencji, w tym korespondencji urzędowej**”. Dotychczas więźniowie, którzy nie mieli pieniędzy, mogli dostać dwie (!) koperty ze znaczkami miesięcznie. Jednak limit ten nie obejmował pism urzędowych, co – zdaniem Ziobry – prowadziło do straszliwych wynaturzeń sprawiedliwości, „**wprowadzając poczucie nie-**

sprawiedliwości społecznej przez zapewnienie osobom pozbawionym wolności finansowania, z którego nie mogą korzystać osoby wolne”. Albowiem jeden więzień z Raciborza wyłudził od zakładu „**3308 znaczków, których wartość wynosiła 10 916 zł**”, a w Tarnowskich Górach był nawet taki, któremu „**w ciągu ośmiu miesięcy pobytu wydano 7143 znaczki, co wynosi 23 571 zł**”. To rzeczywiście wygląda na pewne nadużycie, ale – po pierwsze – dla uniknięcia tego typu przebiegów niekoniecznie trzeba pozbawiać więźniów prawa do pomocy w ogóle; a po drugie państwo, pozbawiając człowieka wolności, bierze za niego odpowiedzialność – a odpowiedzialność bywa kosztowna.

I wreszcie jest sprawa opieki medycznej. W tej sprawie Ziobro

ze szczególną lubością

szczerze ludzi wolnych na więźniów, opowiadając o „**absurdalnych przywilejach**” bycia leczonym: „**Obecnie więźniowie kierowani są do lekarzy, w tym specjalistów, poza kolejnością i systemem udzielania świadczeń zdrowotnych. Nie ma uzasadnienia, by korzystali ze służby zdrowia na lepszych warunkach niż ogół Polaków. Reforma kończy z tymi przywilejami**”. Kłopot w tym, że człowiek siedzący w więzieniu ma znacznie mniejsze możliwości „załatwienia sobie” lekarza niż człowiek na wolności. To ma szczególne znaczenie wobec osób w tymczasowych aresztach, które Ziobrowa prokuratura uwielbia – fundacja Court Watch w raporcie z 2019 r. odnotowuje, że tymczasowo aresztowani stanowią ponad 10 procent populacji więziennej, średni czas aresztu w Polsce to ponad 9 miesięcy (w Europie wyprzedza nas tylko Grecja), a osób, które siedzą ponad rok, było w 2019 r. 500. To ludzie niewinni, do których w żadnym stopniu nie odnosi się fraza z uzasadnienia projektu: „**Pobyt w zakładzie karnym jest konsekwencją zachowania skazanego polegającego na popełnieniu przestępstwa lub przestępstw, który decydując się na podejmowanie niezgodnych z prawem zacho-**

wań, godzi się jednocześnie z tym, że będzie musiał ponieść wynikające z tego konsekwencje”.

Dziesiątki racjonalnych uwag, nadesłanych przez RPO, Fundację Helsińską, inne organizacje praw człowieka, a także sądy z całego kraju, uwag mówiących o niepotrzebnym i niesprawiedliwym ograniczaniu praw osadzonych, Ziobro

z radością wyrzuca do kosza

– naliczyłam 5 „uwag uwzględnionych”, dotyczących kwestii formalnych. Wszystkie merytoryczne wątpliwości resort kwituje stwierdzeniem, że przecież przepisy przewidują, że „**w szczególnie uzasadnionych wypadkach**” szef pierdła może okazać więźniowi ponadnormatywną łaskawość. Tak naprawdę zaś z całego potężnego, liczącego 310 stron dokumentu, przesłanego przez ludzi Ziobry do sejmu, wynika jedno:

zdaniem resortu sprawiedliwości gnojenie osadzonych jest słuszne i zbawienne, bo sobie na to zasłużyli.

Generalnie zgadzam się z Urbanem, że akcje odwetowe wobec funkcjonariuszy kaczynizmu po utracie przez nich władzy zaszkodzą, a nie pomogą demokracji, pozostawiając znaczną część społeczeństwa poza burtą naprawianej po PiS-ie Polski.

Ale dla Ziobry i jego hunwejbiniów zrobiłabym wyjątek.

Pozwólmy im poczuć osobiście moralną słuszność ich penitencjarnych koncepcji.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Współpracownicy Zbigniewa Ziobry wyłudziili pieniądze na pomoc pokrzywdzonym, a prokuratura, zamiast postawić winnych przed sądem, próbuje sprawie ukrócić łeb.

Fundacja Ex Bono z Opola miała pomagać ofiarom przestępstw. Mimo że nie miała żadnego doświadczenia w pomaganiu, w listopadzie 2018 r. wygrała 2 konkursy Funduszu Sprawiedliwości na ponad 9 mln zł. Za te pieniądze fundacja miała utworzyć w Opolu ośrodek pomocy i 11 lokalnych punktów w pobliskich miejscowościach, a także podobny ośrodek w Tychach i 4 lokalne punkty.

...

Nieformalną szefową fundacji (miała m.in. dostęp do rachunków fundacji) była Małgorzata Wilkos, radna Solidarnej Polski z Opola, wieloletnia dyrektorka biura poselskiego Patryka Jakiego, którą Zbigniew Ziobro umieścił na stołku przewodniczącej Międzyresortowej Komisji Orzekającej w sprawach o naruszenie dyscypliny finansów publicznych przy ministrze sprawiedliwości.

Prezesem fundacji został emeryt Ryszard Markowski, prywatnie wuj Wilkos, a wiceprezeską Julia Obrocka, asystentka Jerzego Żyżyńskiego, byłego posła PiS i członka Rady Polityki Pieniężnej, w radzie fundacji zaś ulokowano osoby związane z Solidarną Polską.

...

Jak wykazała kontrola Najwyższej Izby Kontroli, fundacja Ex Bono, starając się o pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości, wielokrotnie poświadczyła nieprawdę w złożonych dokumentach. Fundacja twierdziła np., że ma doświadczenie w pomocy pokrzywdzonym, dysponuje wykwalifikowaną kadrą i punktami, w których

będzie udzielać pomocy. Tymczasem po wygraniu konkursów fundacja dopiero zaczynała naprędce szukać pracowników i lokali. Tak naprawdę nigdy nie świadczyła pomocy w pełnym zakresie, który wynikał z podpisanej umowy.

Po kilku miesiącach działalności ośrodek w Opolu został zamknięty z dnia na dzień, a poszkodowani, którzy korzystali z jego pomocy finansowej, prawnej czy psychologicznej, zostali wystawieni do wiatru. Ludzie z depresją poszli w cug, kobiety maltretowane przez mężów znalazły się nagle bez środków do życia i musiały wrócić do swoich oprawców. Kilka poszkodowanych osób pozostało z długami. Ex Bono zobowiązała się opłacić miejsca w żłobkach dla dzieci i tego nie zrobiła. Fundacja nie płaciła nawet za lokal, który wynajęła od miasta. Nie informowała – choć miała taki obowiązek – policji, prokuratury i sądów o prowadzonej działalności. Nawet dla urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości było to stanowczo za dużo i w czerwcu 2019 r. rozwiązali umowę z fundacją.

...

Ex Bono zdążyła jeszcze zorganizować turnus profilaktyczny dla chorych dzieci, zatajając przed właścicielem ośrodka wypoczynkowego, kogo faktycznie będzie gościł. A były to dzieci z poważnymi dolegliwościami, takimi jak zespół Aspergera, autyzm, padaczka, opóźnienie umysłowe, depresja, choroba dwubiegunowa, zaburzenia lękowe. Gdy gospodarz dowiedział

się, jak poważnie chore są dzieci, rozwiązał umowę z fundacją, argumentując, że został oszukany i nie będzie narażał uczestników turnusu na niebezpieczeństwo utraty zdrowia i życia.

Przepytwana przez kontrolerów NIK kierowniczka obozu stwierdziła, że „**tylko i wyłącznie dlatego, że były to dzieci pokrzywdzone, zdecydowałam się pozostać kierownikiem tego turnusu przez 8 dni, 2 dni przed końcem rezygnowałam**”. Kobieta dopiero w dniu rozpoczęcia obozu otrzymała karty kwalifikacyjne, które zawierały tylko lakoniczne wpisy, iż dzieci nie sprawiają problemów wychowawczych. Kobieta oświadczyła też, że po przyjeździe do ośrodka, gdzie odbywał się obóz, stwierdzono, że „**mamy do czynienia z dziećmi z zaburzeniami psychicznymi, z uzależnieniami, z autoagresją**” i „**z uwagi na szereg zastrzeżeń wspólnie z panią psycholog dzwoniłyśmy do kuratorium w Opolu z zapytaniem, czy obóz został zgłoszony, dostałyśmy odpowiedź, że nie**”.

Gdy kontrolerzy zapytali prezesa Ex Bono, dlaczego naraził życie i zdrowie chorych dzieci, odpowiedział, że nie czuje się winny, gdyż nie był organizatorem wypoczynku, lecz jedynie podpisał umowę z właścicielem ośrodka wypoczynkowego...

...

To tylko wierzchołek góry nieprawidłowości, jakie stwierdziła NIK. Doszukano się też m.in.

nierzetelnej księgowości, zbędnych wydatków, wykupywania drogich usług, zawyżania kosztów, a nawet fałszerstw.

Okazało się, że część podpisów na dokumentach, na których miał się rzekomo podpisać prezes Ex Bono, została podrobiona.

Jesienią 2021 r. NIK skierowała do Prokuratury Okręgowej w Opolu zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez władze Ex Bono. Śledczy z Opola dostali obszerny materiał dowodowy świadczący o tym, że fundacja była tylko wydmuszką służącą do wyłudzenia publicznych pieniędzy. Niemal natychmiast sprawę przejęła Prokuratura Okręgowa w Warszawie, która uchodzi za jedną z najbardziej dyspozycyjnych i upolitycznionych prokuratur, wyspecjalizowaną w zamiataniu pod dywan niewygodnych dla władzy spraw. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że Ziobrowym macherom z Ex Bono włos z głowy nie spadnie. Rzeczniczka warszawskiej prokuratury nie odpowiedziała na pytania, które jej przelałem, w tym najważniejsze: „**Kto i dlaczego wydał polecenie o przeniesieniu śledztwa do Warszawy?**”.

Nietrudno się tego domyślić...

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Kobieta prezydenta

Mamy zapłacić 2,3 mln zł byłemu prezydentowi Olsztyna za bezpodstawne oskarżenie go o gwałt na podwładnej.

28 lutego 2008 r. Czesław Małkowski, wówczas urzędująca głowa miasta, został wyprowadzony z ratusza przez policję. W towarzystwie kamer oczywiście. Do 26 września 2008 r. przebywał w areszcie. Ciężarna sekretarka – w ósmym miesiącu ciąży – oskarżyła go o gwałt.

„Ufałem jej jak rzadko komu” – mówił potem prezydent.

Głównym dowodem w sprawie było nagranie wykonane przez pokrzywdzoną oraz badanie śladów biologicznych z pochwy. Przy takich dowodach akt oskarżenia pisze się w tydzień. Ale Małkowski mówił twardo: seks tak, gwałt nie. Świadkowie opowiadali o związku łączącym strony, a biegli pletli o związku uczuciowym między stronami. 1 lutego 2011 r. Prokuratura Okręgowa w Białymstoku (prokurator Iwona Kruszevska) rozszerzyła oskarżenie. Małkowski miał gwałcić (usiłować gwałcić) nie tylko ciężarną, ale też jej koleżanki.

21 września 2015 r. Sąd Rejonowy w Ostródzie wydał wyrok: Winny! Kolejne sądy były innego zdania. Ostatecznie Sąd Najwyższy, do którego uderzyła prokurator Kruszevska, oczyścił Małkowskiego z podejrzeń.

...

Krytykowałam Małkowskiego, gdy był wszechmocnym włodarzem miasta. Za obrotowość. Były funkcjonariusz PRL-owskiej cenzury objął urząd w 2001 r. w barwach SLD. Gdy wiatr powiał w inną stronę, w 2005 r. wybrał własny sztaandar i poparcie kościółkowych.

Wiadomo było, że lubił spódniczki. Jednak trudno mi było uwierzyć w gwałt i „NIE”, bodaj jako jedyne, w tej sprawie nie rzuciło się Małkowskiemu do gardła.

W trakcie urzędowania Małkowski zniszczył kilka osób i rodzinnych biznesów. Utworzyli stowarzyszenie pokrzywdzonych przez Małkowskiego. Rozmawiałam z tymi ludźmi. Obstawiałam, że mogą stać za seksafera.

Olsztyn miał wprawę w zdemowowaniu ze sceny – przy pomocy prokuratury – niewygodnych włodarzy. Przeciwnożono to na Zenonie Procyku. Prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Pojezierze” w 2005 r. został rozmazany na ścianie. Miał kraść, fałszować

dokumenty, zmuszać ludzi do fałszywych zeznań. W gruncie rzeczy chodziło o to, że próbował uniezależnić największą miejscową spółdzielnię od pośredników w dostawie ciepła. Chodziło też o kilka malutkich prywatnych interesów mieszkaniowych.



rys. HENRYK CEBULA

...

Procyk okazał się niewinny. W 2021 r. za 14 lat gehenny dostał odszkodowanie i zadośćuczynienie w wysokości 2 mln zł.

Małkowski ma dostać 2,3 mln zł. Prokuratura odwołała się od wyroku. Wysokość odszkodowania i zadośćuczynienia będzie policzona jeszcze raz. Czy zwłoka się opłaci? I komu?

– To byłtwaś trawo – słyszę w Olsztynie. – Jeśli się szeroko zarzuci sieci, zawsze coś wpadnie.

Najważniejsze pytanie stawiane w Olsztynie:

Jaka jest odpowiedzialność prokuratorów wspierających, świadomie bądź nieświadomie, interesy lokalnych sił?

Prokurator, która pilotowała sprawę Procyka, jest dziś na emeryturze.

Od wielu lat – dowiedziałam się w Prokuraturze Okręgowej w Elblągu.

Grażynie Waryszak nie spadł włos z głowy, choć jej dokonania uwięziła interpelacja w sprawie nieprawidłowości w przebiegu postępowania karnego, podpisana m.in. przez posła Stanisława Żelichowskiego. W porównaniu z dokonaniem prokuratorów Zbigniewa Ziobry można o niej powiedzieć: cienki Bolek. Sama wnosila przed sądem w Elblągu o uniewinnienie Procyka z dziełu zarzutów.

Prokurator Iwona Kruszevska, która stoi za oskarżeniem Małkowskiego, awansowała. Jest dziś naczelniczką Podlaskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji w Białymstoku.

Małkowski mówi, że to najważniejsza kobieta jego życia. Ona, że w sprawie olsztyńskiej seksafery sądzi inaczej niż sądy, i co jej kto robi, ha?

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

14 lipca 2022 r. w Warszawie został wznowiony proces oskarżonej o pomoc w aborcji aktywistki Aborcyjnego Dream Teamu Justyny Wydrzyńskiej. Wydrzyńska od szesnastu lat doradza i pomaga kobietom, które potrzebują aborcji. Do tej pory nigdy nie miała kłopotów z wymiarem sprawiedliwości. Teraz jest bohaterką bezprecedensowej sprawy. W 2020 r. Wydrzyńska udostępniła tabletki ciężarnej kobiecie, która twierdziła, że była ofiarą przemocy domowej. To pierwsza sprawa w Europie, w której aktywistka jest ścigana za pomoc w aborcji poprzez dostarczenie tabletek aborcyjnych. 22 listopada 2021 r. Wydrzyńskiej postawiono zarzuty „pomocy w aborcji” oraz „posiadania leków bez zezwolenia w celu wprowadzenia ich do obrotu”. Mimo że ciężarna poroniła samoistnie.

4 specjalne sprawozdawczynie Organizacji Narodów Zjednoczonych apelują do polskich władz, aby nie ścigały Wydrzyńskiej za to, że oddała swoje tabletki aborcyjne osobie, która doświadczała przemocy domowej i chciała przerwać ciążę. Apelują też, żeby Polska zalegała aborcję: „Jest dla nas bardzo niepokojące, że kobiety obrończynie praw człowieka w Polsce są ścigane za czyny, które nigdy nie powinny być przestępstwem. Aktywizm osób takich jak pani Wydrzyńska jest jedyną szansą na zapewnienie bezpiecznej aborcji w Polsce, gdzie zabiegi przerywania ciąży są w praktyce niedostępne z powodu różnych ograniczeń. Takie działaczki powinny być chronione, a nie ścigane”. Podpisały się: Reem Alsalem (specjalna sprawozdawczyni ds. przemocy wobec kobiet, jej przyczyn i skutków), Taleng Mofokeng (specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. prawa do zdrowia), Melissa Upreti (przewodnicząca grupy roboczej ONZ ds. dyskryminacji kobiet i dziewcząt) i Mary Lawlor (specjalna sprawozdawczyni ds. sytuacji obrońców praw człowieka ONZ).

„Polskie władze powinny również zapewnić odpowiedni dostęp do podstawowych leków niezbędnych do bezpiecznego samodzielnego wykonania aborcji w sposób przystępny i nie dyskryminujący, w tym poprzez zastosowanie telemedycyny zgodnie z najnowszymi wytycznymi WHO dotyczącymi opieki aborcyjnej. Chcielibyśmy również zaapelować do polskiego rządu o zaprzestanie ataków na obrońców praw człowieka w Polsce, w szczególności tych, którzy opowiadają się przeciwko restrykcyjnemu prawu aborcyjnemu” – można przeczytać w dalszej części listu. Odpowiedzi ze strony polskiego rządu wysłano 3 ministerstwa: Zdrowia, Rodziny i Sprawiedliwości.

Ministerstwo Zdrowia najwyraźniej poczuło się dotknięte zarzutem, że skrobanki w Polsce są nielegalne. W odpowiedzi resort zaprezentował oklepne komunały, że aborcja dozwolona jest w dwóch przypadkach: w przypadku gwał-

Ministerstwo Gwałtu

Prawo i Spierdolenie.

tu bądź gdy jest zagrożeniem dla życia i zdrowia kobiety. Resort zdrowia najwyraźniej wyparł z pamięci sprawę Izabeli z Pszczyny, która zmarła w wyniku sepsy po przedwczesnym odpłynięciu wód płodowych. A nie był to jedyny taki przypadek po usunięciu przesłanki eugenicznej z przepisów.

O tym, że przepis jest martwy, najlepiej świadczy fakt, że Krajowy Konsultant do spraw Ginekologii i Położnictwa na jednym z wykładów we Wrocławiu postanowił przemilczeć temat poronienia w 22 tygodniu ciąży czy przypadku odpłynięcia wód płodowych. Wszystko z powodu ustawy antyaborcyjnej, która nie daje możliwości interwencji czy usunięcia takiej ciąży.

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej w odpowiedzi na apel ONZ wyjęło z szuflady – albo z dupy – Krajowy Program na rzecz Równego Traktowania. Dowiadujemy się z niego, że „Polska podejmuje działania na rzecz zapewnienia wszystkim kobietom możliwości realizacji ich celów i aspiracji w życiu publicznym i politycznym. (...) W Krajowym Programie na rzecz Równego Traktowania zaplanowano promowanie udziału kobiet w procesach decyzyjnych, popularyzowanie w przedsiębiorstwach, instytucjach, uczelniach i organizacjach pozarządowych korzyści płynących z udziału kobiet w ciałach decyzyjnych oraz pomoc w budowaniu sieci współpracy”. Takie banały mogłyby mieć wydźwięk rewolucyjny dajmy na to w Afganistanie. W programie nie ma słowa o prawach reprodukcyjnych. Ministerstwo będzie za to planować, promować, wzmacniać, zauważać itp.

Wisienką na torcie polskiego spierdolenia jest odpowiedź wystosowana przez królestwo Ziobry, czyli Ministerstwo Sprawiedliwości: „W opinii Ministerstwa Sprawiedliwości uwagi, wnioski, orzeczenia, twierdzenia, postulaty i żądania zawarte w Komunikacie w odniesieniu do wyżej wymienionych grup tematycznych są bezpodstawne, nietrafne i pozbawione merytorycznej wartości z punktu widzenia polskiego porządku prawnego”. Ministerstwo referuje polskie prawo oraz prawo międzynarodowe dotyczące „prawa do życia”. Zakaz aborcji usprawiedliwia zapisami o „prawie do życia” i tym, że wszyscy się zgadzamy, kiedy ono się zaczyna. Twierdzi, że w Międzynarodowym Pakcie ds. Praw Obywatelskich i Politycznych jest mowa o ochronie życia od poczęcia.

W traktatach międzynarodowych przeczytamy o prawie do zdrowia i wolności od tortur,

a do takich należy – czego resort Ziobry już nie napisał – brak możliwości przerwania niechcianej ciąży. Komentarz ekspertów ONZ z 2018 r. mówi dosyć jasno: „Ograniczenia w zakresie możliwości uzyskania aborcji przez kobiety lub dziewczęta nie mogą, między innymi, zagrażać ich życiu, narażać ich na fizyczny lub psychiczny ból lub cierpienie. Państwa-Strony muszą zapewnić bezpieczny, legalny i skuteczny dostęp do aborcji w przypadku zagrożenia życia i zdrowia ciężarnej kobiety lub dziewczynki oraz w przypadku, gdy donoszenie ciąży spowodowałoby u ciężarnej kobiety lub dziewczynki znaczny ból lub cierpienie, zwłaszcza gdy ciąża jest wynikiem gwałtu lub kazirodztwa albo nie jest zdolna do utrzymania się przy życiu”.

W 2012 r. polska nastolatka, która w 2008 r. w wieku czternastu lat zaszła w ciążę w wyniku gwałtu i której szpital w Lublinie odmówił aborcji, wygrała sprawę w Europejskim Trybunale Praw Człowieka. Trybunał w Strasburgu orzekł, że Polska naruszyła 3 przepisy europejskiej konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności: zakaz nieludzkiego i poniżającego traktowania, prawo do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego, a także prawo do wolności i bezpieczeństwa osobistego. Minęło 10 lat, a w Polsce nic się nie zmieniło. A nawet zmieniło się na gorsze.

8 kwietnia 2022 r.

sąd podczas pierwszej rozprawy w sprawie Wydrzyńskiej nie wykazywał skłonności do sympatii czy ochrony działaczki, zgadzając się na udział w procesie przedstawicieli katolickich fundamentalistów z Ordo Iuris.

Obrońcy Wydrzyńskiej, Jerzy Podgórski i Anna Bargiel, wnioskowali o wyłączenie sędzi wybranych przez nową Krajową Radę Sądowniczą oraz o wyłączenie udziału Ordo Iuris jako strony społecznej. Wnioski zostały odrzucone.

IDALIA DUBICKA

W czasach PRL kontrwywiad wojskowy, czyli Wojskowa Służba Wewnętrzna, pilnował dyscypliny wśród żołnierzy. Ziobro nie chciał być gorszy i stworzył WSW w nadzorowanej przez siebie prokuraturze, żeby gnębić niepokornych sędziów i prokuratorów.

Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej powstał w 2016 r. Miał tropić nadużycia, korupcję i patologię wśród sędziów i prokuratorów. Powoływanie specwydziału do tropienia przestępstw wśród osób, które powinny stać na straży prawa, jest absurdem. Można z tego wyciągnąć wniosek, że prokuratorzy i sędziowie to jakaś zdemoralizowana grupa bandziorów, która stanowi szczególne zagrożenie dla społeczeństwa i bezpieczeństwa państwa.

Na czele WSW stoi prokurator **Adam Gierk** z Prokuratury Regionalnej w Łodzi. Za pierwszych rządów PiS w 2006 r. Gierk przesłuchiwał dyrektora szpitala w Brzezianach, który jadąc po pijanemu samochodem, miał skosić znak drogowy. Dyrektor był kandydatem Platformy Obywatelskiej w wyborach samorządowych, które odbyły się kilka dni później.

„Pan prokurator Gierk przygotował fortel jak za czasów faszystowskich. Kazał przywieźć męża do prokuratury. Postawił go w korytarzu, przy oknie, w kajdankach (...). Jak zobaczyłam męża, myślałam, że mi serce pęknie. (...) Przyznałabym się wtedy do wszystkiego” – mówiła „Głosowi Wielkopolskiemu” żona dyrektora.

Inni świadkowie zeznawali: „Pan prokurator zadawał pytanie i z góry wiedział, co ma napisać”; „Kiedy nie potwierdziłem, że K. był nietrzeźwy (...), to pan prokurator straszył, że osadzi mnie w areszcie (...). Rodzina pozostałaby bez środków do życia i z tego strachu mówiłem to, co pan prokurator chciał, co mam mówić”.

Gwiazdą WSW jest **Czesław Stanisławczyk**. Za rządów PiS facet zrobił błyskawiczną karierę. W latach 2002–2006 Stanisławczyk był radnym w gminie Laskowa, potem pracował w Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, a w 2014 r. został wójtem. Nie dokończył kadencji, bo w 2018 r. znalazł zajęcie w prokuraturze. Najpierw został prokuratorem w Prokuraturze Rejonowej w Limanowej, zaraz potem trafił do Prokuratury Okręgowej w Nowym Sączu, a stamtąd hop! – skoczył do Prokuratury Krajowej. Według „Gazety Wyborczej” Stanisławczyk nie spełniał wymogów ustawowych, gdyż nie przepracował w okręgu ani jednego dnia, od razu trafił na delegację do Prokuratury Krajowej.

Inni prokuratorzy WSW zostali dobrani głównie z prokuratur rejonowych i pracują na czasowych delegacjach, które można w każdej chwili cofnąć i wysłać prokuratorów do pracy na starych śmieciach.

WIEŚCI GMINNE i INNE

■ Wieczorny spacer 59-latka z psem przy drodze nr 75 we wsi Uszew koło Brzeska skończył się raz na zawsze. W wyniku potrącenia przez jadącego wzmiankowaną drogą golfu głowa mężczyzny oderwała się od tułowia i wpadła do samochodu. Zabity został również spacerujący pies. Przyczyną tego nietuzinkowego wypadku będą trudne do wyjaśnienia. Wszyscy pasażerowie volkswagena trafili do szpitala, choć fizycznie żaden nie ucierpiał. Kierowca był trzeźwy. Nie poruszał się z nadmierną prędkością. Dekapitowany wszedł na ulicę spacerowym krokiem, choć poza wyznaczonym przejściem, ale w obszarze oświetlonego skrzyżowania.

■ Podano hipotetyczne przyczyny pożaru w krakowskim archiwum miejskim przy ulicy Na Zaleczu. Do pożaru doszło 6 lutego 2021 r. Spowodował straty w szacowanej kwocie 220 mln zł. Najbardziej prawdopodobną przyczyną wybuchu ognia był system przeciwpożarowy. Policjanci, którzy kradną, strażacy, którzy podpalają, sędziowie fetujący niesprawiedliwe wyroki, a teraz jeszcze coś takiego! Jest oczywiście, że dyktatura PiS-u uniemożliwia funkcjonowanie zdrowym mózgom, ale to,

Nie całujta w dupę wójta

Młodzi i niedoświadczeni wykonają każde polityczne zlecenie, żeby przypodobać się Ziobrze w oczekiwaniu na awans i nagrodę.

Z nieoficjalnych informacji wynika, że prokuratorzy WSW mają większe pensje od kolegów z innych jednostek, a do tego specjalne dodatki i inne benefity.

Minęło 6 lat od czasu utworzenia WSW, a nic nie słyhać o sukcesach specprokuratorów. Zamiast zająć się szukaniem czarnych owiec, Ziobrowi śledczy wzięli na celownik prawników, których podła zmiana uznała dla siebie za niebezpiecznych, niewygodnych lub którym trzeba po prostu dokopać.

Waldemar Pionka, były szef Prokuratury Rejonowej w Ostrowcu Świętokrzyskim, miał pecha, bo nadzorował śledztwo w sprawie śmierci ojca Zbigniewa Ziobry, który w wyniku choroby zmarł w jednej z krakowskich klinik. Rodzina Ziobrów zarzucała lekarzom błędy, które miały doprowadzić do śmierci Jerzego Ziobry, ale śledztwo Pionka umorzył, nie dopatrując się przewinienia medyków. Gdy Ziobro został ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym, Pionką zainteresował się WSW, który odkrył rzekome nieprawidłowości w jego oświadczeniach majątkowych. Sprawa była dęta, ale nielegalna Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego uchyliła prokuratorowi immunitet i sprawa trafiła do sądu, który prawomocnie oczyścił Pionkę z zarzutów.

„Od samego początku sprawa była oczywista i było wiadomo, że nie ma żadnych podstaw do prowadzenia sprawy ani dyscyplinarnej, ani karnej wobec pana prokuratora. Te postępowania Wydziału Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej miały zupełnie inny niż



procesowy cel, związany z tym, że pan prokurator jest prokuratorem niezależnym od władzy i podejmował decyzje, które nie były korzystne czy nie były po myśli jego przełożonych. Uniewinnienie jest tego najlepszym dowodem” – mówiła Katarzyna Gajowniczek-Pruszyńska, obrończyni Pionki.

Trzynastu sędziów z Krakowa znalazło się na celowniku WSW tylko dlatego, że orzekąco (w różnych instancjach) w sprawie, którą prokurator **Janusz Krasoń** wytoczył Prokuraturze Regionalnej w Krakowie. Sprawa Krasonia była głośna. W 2019 r. zainicjował on podjęcie przez zgromadzenie prokuratorów krakowskiej prokuratury uchwały wzywającej do zaprzestania politycznych nacisków na prokuratorów.

Niemal natychmiast potem został delegowany do odległej o ponad 200 km Prokuratury Rejonowej we Wrocławiu. Krasoń uznał, że to represja, i odwołał się do sądu pracy, wnosząc m.in. o wstrzymanie delegacji do czasu rozpatrzenia sprawy. W 2021 r. Sąd Okręgowy w Krakowie orzekł, że karne delegowanie Krasonia było bezprawne. Ale nie za ten wyrok sędziowie znaleźli się pod lupą WSW, lecz dlatego, że wydali kilka korzystnych dla niego orzeczeń w sprawach proceduralnych. W obronie szyszanowanych sędziów stanął rzecznik praw obywatelskich. Po jego interwencji jesienią 2021 r. śledztwo zostało umorzone.

Pisowskiej stronie podpadł też sędzia **Igor Tuleya** z Sądu Okręgowego w Warszawie. Chodzi o absurdalny zarzut ujawnienia tajemnicy śledztwa, za co grozi do trzech lat więzienia. W grudniu 2017 r. podczas posiedzenia sądu Tuleya uchylił decyzję prokuratury u umorzeniu śledztwa w sprawie oburzających wydarzeń, do których doszło w grudniu 2016 r. w sali Kolumnowej sejmiku i nakazał ponowne śledztwo. Pewnie nie byłoby z tego powodu problemu, ale Tuleya zezwolił dziennikarzom, aby go wysłuchali i nagrali. Zdaniem prokuratury sędzia ujawnił w ten sposób osobom „nieuprawnionym” tajemnicę śledztwa. A sędzia mówił ciekawie rzeczy. W uzasadnieniu cytował zeznania złożone w prokuraturze przez posłów PiS. Wynikało z nich m.in., że w sali Kolumnowej blokowano posłów opozycji, że przerabiano protokoły z głosowania i że w sali mogło nie być quorum, bo posłowie ciągle wychodzili na korytarz. Poza tym – w związku z rozbieżnościami w zeznaniach posłów PiS – sędzia nakazał prokuraturze zbadanie, czy nie składali oni fałszywych zeznań.

Ziobrowi prokuratorzy tak bardzo uwzięli się na Tuleyę, że złożyli do Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego wniosek o zatrzymanie i siłowe doprowadzenie niepokornego sędziego przez policję. Kwit podpisał były wójt Stanisławczyk.

Problemy ma sędzia Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie i były wiceszef legalnej Krajowej Rady Sądownictwa płk **Piotr Raczkowski**. Czym podpadł PiS szanowany prawnik? Otóż w 2016 r. zniósł klauzulę tajności z archiwalnych akt dotyczących afery szpiegowskiej z lat 90. Dokumenty do oddajnienia wskazała mu komisja działająca przy sądzie. Według prokuratury sędzia oddał jednak akta bez wymaganej zgody Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, co pozwoliło na zapoznanie się z nimi osobom nieuprawnionym. Chodziło o dziennikarzy – autorów książki „Antoni Macierewicz. Biografia nieautoryzowana”. Z książki wynikało, że na początku lat 90. ówczesny szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Antoni Macierewicz miał sparaliżować akcję kontrwywiadu wobec rosyjskiego szpiega.

O absurdalne przestępstwo oskarżono szanowaną sędzię **Beatę Morawiec**, była prezeską Sądu Okręgowego w Krakowie i prezeską Stowarzyszenia Sędziów „Themis”, która miała przyjąć telefon komórkowy za... wydanie korzystnego wyroku. Ziobro ma na pieńku z sędzią Morawiec, bo przegrał z nią proces o pomówienie i nie chciał wykonać prawomocnego wyroku.

Sędzia Sądu Najwyższego **Włodzimierz Wróbel** i dwaj inni sędziowie SN mieli dopuścić się ciężkiego przestępstwa, gdyż zapomnieli o wystawieniu nakazu zwolnienia z pudła bandziorów, którzy spędzili za kratkami miesiąc dłużej, niż powinni. Dlatego prokuratorzy chcieli wszadzić wybitnych prawników za kratki z art. 189 § 2 kodeksu karnego, który stanowi, że „kto pozbawia człowieka wolności, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5. Jeżeli pozbawienie wolności trwało dłużej niż 7 dni, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10”. Paranoja! Sędziowie mieli odpowiedzieć za błąd pracowników administracji, którzy ze spóźnieniem powiadomili zakład karny o konieczności zwolnienia mężczyzny.

Pod lupą specprokuratorów jest znienawidzony przez PiS sędzia **Waldemar Żurek** z Krakowa, rzecznik zlikwidowanej przez kaczystów legalnej KRS. Podwładni Ziobry sprawdzają, czy Żurek nie próbował wyłudzić odszkodowania za wypadek, który przytrafił mu się w pracy (sędzia doznał urazu nogi, co zarejestrowały kamery monitoringu). Kolejnym przestępstwem miało być znieważenie pisowskiego dyrektora sądu, gdy Żurek wraz z innym sędzią, **Wojciechem Maczugą**, wieszali plakaty w obronie represjonowanego przez PiS sędziego. Podczas tej akcji między dyrektorem Piotrem Słabym a sędziami doszło do wymiany zdań. Żurek z Maczugą ironizowali z zachowania Słabego, a ten najwidoczniej poczuł się dotknięty żartami, bo doniósł do WSW.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

że tą infekcją zarażają się od ludzi maszyny, nikomu nie przyszłoby do głowy.

■ Ktoś w biały dzień napisał czarnym sprejem na frontowej ścianie budynku Urzędu Miejskiego w Kętach: „Jebać pisowskie kurwy”. Musimy to powiedzieć wam, panowie policjanci, od razu: to nie byliśmy my. Nigdy nie byliśmy w Kętach. Nie wiemy nawet, gdzie to jest. Nikt z naszych krewnych i znajomych stamtąd nie pochodzi. Nie umiemy malować – tym bardziej sprejem. Z całą pewnością nie powinniśmy być nawet w cieniu podejrzeń...

■ Sprzedaż mieszkań w sześciu największych polskich miastach (Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Trójmieście, Poznaniu i Łodzi) spadła o 50 proc. rok do roku. W pierwszym półroczu zawarto ok. 19,5 tys. transakcji, czyli mniej więcej o 20 tys. mniej niż w ciężkim, covidowym jeszcze pierwszym półroczu roku 2021. Nie jest to dziwne. Kto będzie kupował w maju lokum, które dzięki polityce naszego światłego rządu i złośliwości prezydenta Rosji zbombardowane zostanie w grudniu? Nawet jeśli ktoś jeszcze ma zdolność kredytową na zakup, to pożyczki na remont na pewno nie dostanie.

■ Odnalazł się Marcin Sakowicz z Zabrza, który zginął wraz z czerwonym fiatem sieną 12 kwietnia 2005 r. Pan Marcin urządzał sobie przejażdżkę po dnie Odry w okolicy miasta Obrowiec. Niestety fiat to nie łódź podwodna. Na resztki samochodu i tego, co zostało z pana Marcina, natrafił nurek amator. Policja będzie badała DNA, czy aby na pewno jest to ten sam samochód oraz ten sam pan Sakowicz. Logika jest bardzo pewnym sposobem dochodzenia do niepewnych wniosków.

■ Niemal 340 mln – to liczba transakcji dokonanych przy kasach przez klientów sieci Biedronka od 12 kwietnia do 30 czerwca, w okresie akcji „Tarcza antyinflacyjna Biedronki”. Każdy z tych 340 milionów mógł z tarczy skorzystać. W tym celu należało: znaleźć produkt w niższej cenie regularnej w innym sklepie, kupić go i zatrzymać czytelny paragon, kupić ten sam produkt w Biedronce i zatrzymać paragon. Obydwa zakupy musiały być dokonane w tym samym tygodniu. Następnie paragony trzeba było przestać do Biedronki elektronicznie i listownie. No i wtedy można było uzyskać zwrot różnicy między tańszym a droższym. Prawdopodobnie – bo nikomu się to nie udało. Ani jeden klient nie skorzystał z „Tarczy antyinflacyjnej Biedronki”. Jest to niepodważalny dowód na to, że ceny w Biedronkach są nie do pobicia.

■ – Przepluwając obok roweru wodnego, funkcjonariusz poczuł silną woń palonej marihuany – wyznała rzeczniczka policji w Lesznie Monika Żymełka. Zakręciło mu się w głowie, poczuł pulsowanie w skroniach i mrowienie w pachwinie – tak nam się zdaje. Rowerzystów wodnych aresztowano z perspektywą trzech lat więzienia. W podobnych historiach zawsze intryguje nas to, skąd gliniarze wiedzą, jak pachnie palone zioło.

■ Śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego przetransportował ledwo żywego 35-latką do szpitala wojewódzkiego w Łomży. Ledwożywość wynikała z samopodpalenia, jakie w końcu już przecież dojrzały człowiek uskutečnił przed komendą policji w Kolnie. Oblał się benzyną, którą zapalił zapalniczką.

ką. W szpitalu w Łomży oceniono stan pacjenta jako beznadziejny. Pacjent zmarł prawidłowo, zgodnie z oczekiwaniami lekarzy. Policjanci z Kolna nie mają pojęcia, dlaczego ludzie podpalają się pod ich oknami.

■ Natomiast w Żabnie (województwo małopolskie, powiat tarnowski) nieznani pirotechnicy wysadzili w powietrze bankomat. „Wybuch zdmuchnął klomby kwiatowe ustawione na żabińskim rynku” – dodała komenda policji w Tarnowie. Szczegół ten wydaje się psychologicznie istotny, ponieważ z bankomatu nie zabrano pieniędzy. To jest logiczne. W czasach powszechnych płatności elektronicznych na chuj komu ta odgłapińska makulatura? Pozostaje mieć nadzieję, że była to słuszną manifestacją przeciwko wyzyskowi i arogancji systemu bankowego, który, nieokielznywany przez lata, wreszcie dobierze się wam do skóry, naiwni kredytobiorcy.

■ Obywatele Bangladeszu zostali zaatakowani przez uzbrojonych w broń krótką i gaz łzawiący rzezimieszków. Napastnicy wybili szybę w samochodzie Banglijczyków, oślepił ich gazem i powalili siłą na ziemię. Jak się okazało, jednak nie byli to bandyci, tylko funkcjonariusze krakowskiej komendy policji, która została powiadomiona, że trzech Rumunów ograbia mieszkanie na ulicy Chmielnic, wynosząc meble na zewnątrz w środku nocy. Doprowadzeni do aresztu Banglijczycy tłumaczyli, że przeprowadzali się z jednego lokalu do drugiego w nocy, ponieważ w dzień nie ma tam gdzie zaparkować samochodu. Obiecali też nauczyć się polskiego, skoro w Krakowie informatorzy policji nie

mówią po bengalsku, który jest bliźniaczo podobny do rumuńskiego.

■ O braku szczęścia może też mówić mieszkaniec Radomia, któremu na początku wszystko dobrze się układało. Najpierw ukradł rower sprzed stacji kolejowej w miejscowości Sobków (Świętokrzyskie). Następnie przejechał kilka kilometrów, aby z prywatnej posesji ukraść samochód marki Renault. Zostawił okradzionemu z samochodu ukradziony wcześniej rower. Ukradzionym samochodem przejechał kilkadziesiąt kilometrów. Zabrakło paliwa. Zatankował więc i nie zapłacił. Niestety policja czuwa. Skradzioną renówkę zatrzymano pod Krakowem. Złodziej tłumaczył, że nie była to kradzież, tylko „zabór pojazdu w celu krótkotrwałego użycia”. Samochód planował zostawić niedaleko lotniska w Balicach, skąd najpewniej zamierzał ukraść samolot.

■ W sytuacji gdy zimą nie będzie węgla i gazu, rząd zaplanował alternatywne rozwiązanie polegające na paleniu chrustem. Przyjęło się. Zainteresowanie chrustem było takie, że jest on niedostępny. Lasy Państwowe prowadzą zapisy na chrust – z przewidywanym terminem odbioru za kwartał. Jest jeszcze problem uchwał antysmogowych, które przyjęto w dużych miastach i w 20 proc. gmin miejskich, zakazujących spalania w piecach substancji stałych pod karą grzywny w wysokości 500 zł.

R.J.

Informacje pochodzą z prasy lokalnej. Mimo wielu ich ewidentnych słabości zdają się reprezentować obecny stan potocznej świadomości narodowej. Mogą więc być nieprawdziwe jak owa pospolita świadomość.

Co tu się odwegania?!

Soja o smaku ludziny.

29 czerwca Francja – największy w Europie i siódmy na świecie producent wołowiny – zaostriżyła przepisy dotyczące opatrywania produktów roślinnych nazwami produktów odzwierzęcych. Nie kupimy już zatem we Francji roślinnych steków, kielbasy, boczków, parówek ani szynki. Z bliżej nieokreślonego powodu legalny jednak nadal ma pozostać roślinny burger...

Według wegan, w tym pierwszej polskiej europarlamentarzystki weganki Sylwii Spurek, zakaz stosowania nazw odzwierzęcych to nic innego jak próba ograniczenia wzrostu sprzedaży roślinnych zamienników przez przerażoną branżę mięsna. Pierwszym sukcesem w tym zakresie był wprowadzony 2 lata temu zakaz nazywania napojów roślinnych „mlekiem”, a roślinnych tłuszczów „masłem”. Według oficjalnego przekazu zmiany w nazewnictwie mają na celu ochronę konsumentów i niewprowadzanie ich w błąd. Roślinne zamienniki produktów odzwierzęcych, oprócz nazwy i formy wizualnej, mają bowiem z oryginałami niewiele wspólnego. Parówki roślinne, tak jak parówki drobiowe, pozostają wysoko przetworzoną papką o nikomu w pełni nieznanym podejrzanym składzie. Aby uzyskać efekt smaku i struktury mięsa czy jajek, do mieszkanki producenta dodają kilkanaście różnych składników, w tym wypełniaczy,

które zmiksowane nie dostarczają tych samych składników odżywczych co oryginały.

Jajka wegańskie, których głównym składnikiem jest np. tapioka, czyli mąka, obok jaj kurzych nawet nie stały. Z drugiej strony dość oczywiste jest, że określenie „wege” daje konsumentowi do zrozumienia, że to, co znajduje się w opakowaniu, to tylko roślinna imitacja o zupełnie innym składzie, której celem jest odwzorowanie smaku i struktury tego, co po „wege” w nazwie się znajduje – i niewiele więcej. Skupiając się na nomenklaturze: wychodzi na to, że już słowo „zamiennik” jest tak naprawdę nie-trafione...

Ślepe wspieranie firm produkujących odzwierzęcopodobne produkty o gównianej recepturze jest krótkowzrocznym działaniem na własną szkodę, szczególnie że producentem „zielonych” zamienników często są producenci ich mięsnych oryginałów – w Polsce np. Tarczyński i jego roślinne kabanosy.

Prawidłową, jednak trudniejszą drogą do ograniczenia lub eliminacji

produktów odzwierzęcych na szeroką skalę powinna być edukacja, czyli nauka gotowania od podstaw.

Pokolenie naszych mam czy babć nie jest w stanie ugotować zupy ogórkowej bez porządnego wywaru na żeberkach.

Na kuchnię europejską olbrzymi wpływ miała kuchnia francuska, która bazuje na mięsie, mleku i jajkach. Zrezygnowanie z tego wszystkiego dla dotychczasowego mięsożercy to jak zrezygnowanie z wszelkiej życiowej przyjemności, a próby ugotowania czegoś satysfakcjonującego zazwyczaj kończą się fiaskiem. Sama kilkakrotnie bezskutecznie próbowałam przejść na dietę wegańską, wiem więc dobrze, co mówię.

Postulat całkowitego wyeliminowania produktów zwierzęcych z diety jest z założenia nieracjonalny. Według wegan za przejściem ludzkości na pozbawioną produktów zwierzęcych dietę przemawiają argumenty dotyczące zatrzymania zmian klimatycznych dzięki ograniczeniu emitowanych przez przemysłowe hodowle zwierząt gazów cieplarnianych,

oraz argumenty etyczne, mówiące o ograniczeniu cierpienia zwierząt.

Ideologia wegańska w swojej skrajnej formie nie ma naukowego uzasadnienia i w gruncie rzeczy bardzo przypomina poglądy wyznawane przez członków ruchu pro-life. Nie każde życie jest „święte” i nie każda istota jest równa innej. Odczuwane cierpienie jest pojęciem względnym i zależy od budowy biologicznej oraz samoświadomości istoty. Płód to nie człowiek, ryba to nie świnia, a ostryga to nie ośmiornica – chociaż i jedno, i drugie zaliczane jest do owców morza. Przyrządzenie własnoręcznie złapanego winniczka po burgundzku, którego układ nerwowy składa się z trzech zwojów, jest z moralnego punktu widzenia dużo bardziej etyczne niż jedzenie awokado lub orzechów nerkowca, czyli produktów, przy produkcji których cierpi homo sapiens. Nie do wszystkich to jednak trafia...

Wracając do burgerów i tego, że nie wszystko, co wegańskie, idzie w dobrą stronę: Pod koniec maja tego roku na Festiwalu Kreatywności w Cannes Srebrnego Lwa dostała szwedzka firma Oumph! za pomysł i spot reklamowy w pełni wegańskiego burgera o smaku ludzkiego mięsa, który został wyprodukowany na Halloween w zeszłym roku. „Tworząc tę specjalną edycję burgera, Oumph! chciał udowodnić, że możliwe jest wytwarzanie produktów roślinnych, które smakują jak »każde« mięso” – informuje producent. Smak i konsystencja ludzkiego mięsa miały być odtwarzane jedynie na bazie zeznań i opisów kanibali. Reklama jest dźwięgą handlu, jednak coś mi w tej koncepcji zgryzta. Ale co ja tam wiem? Nie jestem weganką...

MAGDALENA RZEJAK

Elitaryzm na śmietniki.

Słychać gnicie? Znakomicie!

O freeganizmie, czyli żywieniu się jedzeniem ze śmietnika, pierwszy raz usłyszałam, jeszcze zanim było to modne. Przed erą internetu mówiło się o tym w środowiskach anarchistycznych, wegetariańskich i wegańskich, czyli głównie na squatach. Gastronomiczni odszczepieńcy niejedzą mięsa stanowili wówczas raczej promień niż procent społeczeństwa, a podstawą bezmięsnej diety nie było awokado i camembert z orzechów nerkowca, tylko chleb z pasztetem sojowym, kotlety sojowe à la schabowe i sojowy granulaty – wszystko firmy Sante. Zanim zaczęło mówić się o tym na squatach, jedzenie resztek z „pańskiego stołu” zgarniali biedni i bezdomni. I tak od zarania dziejów, aż postanowiono to zjawisko nobilitować i nadać mu nazwę zakończoną szlachetnym sufiksem „-nizm”.

Polowanie

Oswajanie się społeczeństwa ze śmietnikiem było oczywiście procesem stopniowym, a obecną legitymizację grzebania w śmietnikach przez porządną obywateli przyniosło dorobienie do praktyki uprawianej niegdyś jedynie przez garstkę niejedzących mięsa ze względów etycznych anarchistów i niemających innego wyjścia biednych, bezdomnych i żuli modnej dzisiaj ideologii zero waste.

Najpierw weganizm przestał być dziwactwem uprawianym przez anemicznych outsiderów. Następnie przyszła pora na noszenie ubrań z lumpeksów. Po odtabuizowaniu second handów pojawiła się moda na skandynawski design i PRL-owskie meble. Nieświadomi ich wartości właściciele zastępowali rarytasy z lat 60. sosnową masówką z Ikea, wyrzucając meblowe perełki na śmietnik, z których co bardziej kumaci obywatele je zabierali. Coś, co było dotychczas wstydlwym dla rodziny hobby i sposobem na życie typowego zbieracza, nagle stało się trendy.

Po oswojeniu się społeczeństwa z zaglądaniem do śmietnikowych altan z gabarytami w poszukiwaniu elementów wystroju wnętrz przyszedł czas na krok ostateczny – nurkowanie w koszach w po-

szukiwaniu darmowego jedzenia. Zaopatrywanie się dzisiaj na śmietniku nie oznacza bowiem bycia ubogim, życiowym przegrywem – wręcz przeciwnie – zdobywanie nierzadko cennych rzeczy z drugiej ręki stało się synonimem sprytu, bycia eko, świadomym, antykapitalistycznym wojownikiem stawiającym czoło nadprodukcji i zmianom klimatu. To jak polowanie, wędkarstwo lub chodzenie na grzyby – wciąga, wyzwala adrenaliny, serotoniny i pozwala zaoszczędzić.

Grzybobranie

Odczarowanie śmietników i rozochocenie społeczeństwa doprowadziło do rzeczy dla freegan w gruncie rzeczy katastrofalnej – pojawienia się tematu w mainstreamowych mediach. Jakiś czas temu w TVN 24 marnowanie żywności i freeganizm był głównym tematem blisko godzinny program „Rozmowy o końcu świata”. Ameryki niby nie odkryto, wiadomo przecież, że sklepy wyrzucają niesprzedane jedzenie. Co innego jednak słyszeć, a co innego zobaczyć na własne oczy. Mimo podpisanej w 2019 r. dziurawej ustawy o niemarnowaniu żywności i obowiązku przekazywania zdejmowanego z półek żarcia organizacjom pozarządowym wiele marketów ma to w dupie. Jedynie 5,5 proc. z 5 mln ton wyrzucanego jedzenia rocznie trafia do Banków Żywności. Aby wywiązać się z przepisów, wystarczy, że market rzuci raz na jakiś czas organizacji pozarządowej kilkunastu ochłap. Cała reszta, czyli tony często świeżych owoców i warzyw, pieczywo i różne inne rarytasy lądują w marketowych kubłach.

„Absolutnie nie zachęcamy do tego rodzaju stojącej na granicy prawa działalności” – mówi prowadząca program Magda Łucyan, której wtóruje specjalistka od zero waste skipująca (jeżdżąca po śmietnikach) od sześciu lat, bynajmniej niewyglądająca na bezdomną Jagna Nie-

dzielska. „Przy odrobinie odwagi to wszystko może być twoje. Za darmo” – odczytują płynącej z pokazywanych obrazów podprogowy przekaz nieświadomi wcześniej takich możliwości Grażyna i Janusz.

Podstawową zasadą freegan jest sprzątanie po sobie i dbanie o odwiedzaną miejscówkę. Popularyzacja freeganizmu oznacza dla skipujących większą konkurencję, a co za tym idzie pojawienie się przed sklepami rzeszy amatorów i ignorantów zostawiających po sobie najzwyklejszy w świecie chlew. Mówienie o freeganizmie w mediach to jak publiczne zdradanie grzybiarskich miejscówek. Rozwalone śmieci oznaczają rychłe wkurwienie się kierownika sklepu i zamknięcie śmietnika na klucz. O ile dla ratujących żywność znudzonych ekolasek skipowanie jest bardziej rozrywką niż koniecznością, o tyle ludzie faktycznie biedni po założeniu kłódki mają przesrane.

Gazowanie

Z wpisów na freegańskich grupach i forach internetowych wynika, że walka między marketami wywalającymi tony dobrej żywności a freeganami próbującymi ją uratować jak zwykle wychodzi od bezdusznej góry. Pracownicy wyrzucający z ciężkim sercem i łzami w oczach nadal świeże produkty sami mają – pod groźbą zwolnienia dyscyplinarnego – kategoryczny zakaz zabraniać czegokolwiek dla siebie. Jeden zgniły pomidorek cherry umieszczony w plastikowym opakowaniu skazuje resztę na nieuchronne gnicie w koszu razem z nim. Warzywa i owoce można byłoby oczywiście posortować, jednak od tego trzeba by zatrudnić kolejnego pracownika. No i co z kolejną dostawą holenderskich, hiszpańskich czy rosyjskich warzyw, która już jest w drodze. Zamiast sorto-

wać lub oddawać organizacjom pozarządowym, marketom w obecnym systemie bardziej opłaca się zrobić coś innego – wiatę zamknąć, a jej wartość, niezależnie od stanu znajdujących się w niej produktów, sprzedać lansowanym ostatnimi czasy przez Polskie Stronnictwo Ludowe biogazowniom. Czyli przepisy niby są, ale stosowanie się do nich jak wszystko w naszym kraju kuleje.

Dzielenie

W normalnych cywilizowanych krajach przeterminowanej żywności nie tylko nie wyrzuca się i nie zamyka na kłódkę, lecz sortuje się ją i wystawia na ogólnodostępnych dla wszystkich regałach za sklepem. Tak od wielu lat jest np. w Islandii. W Danii natomiast oprócz regałów powstały sklepy WeFood, w których sprzedawane są lekko przeterminowane produkty.

W opóźnionej Polsce idea niemarnowania żywności dopiero się rozwija. W 2016 r. w Warszawie powstała pierwsza w Polsce jadalnia, czyli miejsce, w którym można przyjść i zostać albo zabrać jedzenie. Dzisiaj jest bodaj 16 jadalni. Sama idea foodsharingu, czyli dzielenia się jedzeniem, powstała w Niemczech dzięki Raphaelowi Fellmerowi, który w 2010 r. postanowił żyć bez pieniędzy, a widząc ogrom wyrzucanego w berlińskich marketach i restauracjach jedzenia, stwierdził, że należy je jakoś oddolnie rozprowadzić. Wcześniej był Jezus, jednak za jego czasów nie było ani lodówek, ani nadmiaru produkcji.

Wzrost

Czy w najbliższej przyszłości freeganizm czeka naturalna śmierć? To zależy, czy rząd podejmie w zakresie wywalanego w marketach jedzenia jakieś systemowe kroki. Dużo

wygodniej byłoby zabrać jedzenie ze stojącego za sklepem regału, nie obawiając się wezwania policji, lub pójść do sklepu, gdzie jedzenie jest za darmo lub półdarmo.

Jedno jest pewne: dzięki działaniom PiS-u, czyli inflacji prowadzącej do 40-procentowego wzrostu cen żywności i zubożenia społeczeństwa, foodsharing w Polsce przeżywa dynamiczny wzrost, a jego przyszłość rysuje się w jasnych barwach.

M.R.

Napaść Rosji na Ukrainę dała PiS-owi pretekst do ostatecznego rozprawienia się z niewłaściwymi politycznie zwłokami sprzed 77 lat.

Dla przypomnienia: Wał Pomorski to część systemu umocnień wschodniej granicy III Rzeszy, osłaniających Pomorze Zachodnie.

Złotów, wcześniej Flatów, to piękne 18-tygodniowe, otoczone pięcioma jeziorami miasto nad rzeką Głomią.

W ostatnich dniach stycznia 1945 r. trzymał

silny mróz:

minus 18–20 stopni. Mimo zmęczenia polska armia dostała rozkaz ścigania wroga. Ciężka broń, zaopatrzenie, lotnictwo utknęły koło Bydgoszczy z powodu braku paliwa... Złotów miał ubezpieczać Wał Pomorski, został więc zamieniony w twierdzę... – czytamy na portalu miejskim. „Pierwsza weszła do walki kampania fizylierów XI pułku. Została ona na przedpolach wsi Międzybłocie zaskoczona silnym ogniem broni maszynowej i tylko refleks dowódcy, ppor. Owczynnika, oraz bohaterstwo i ofiarność plut. Andrzeja Piotrowskiego zapobiegły dużym stratom”.

„Do rana droga na Złotów musi zostać otwarta” – rozkazał generał Bolesław Kieniewicz. Ten Kieniewicz to wredna postać. Syn carskiego urzędnika (źle), którego rodziców zamordowano w czasie rewolucji bolszewickiej (dobrze), został wychowany w radzieckim sierocińcu (źle). Po tym praniu mózgu został generałem porucznikiem Armii Czerwonej i generałem dywizji Wojska Polskiego. Po wojnie był szczył w polskiej bezpieczeństwie i posłem na PRL-owski sejm.

Wracamy pod Złotów: „O drugiej w nocy batalion XI pod dowództwem płk. Kondratowicza ruszył ponownie do ataku. Zginęli m.in. chor. Jan Dąbrowski oraz wielu podoficerów i szeregowców. W zacieklej walce o most zginął bohaterską śmiercią plutonowy Michał Robak – pośmiertnie odznaczony krzyżem Virtuti Militari”.

31 stycznia 1945 r. o dziewiątej Złotów był wolny. To pierwsze miasto Pomorza Zachodniego, które wróciło po 173 latach do macierzy.

Jakiś czas później w Międzybłociu postawiono pomnik. Nic wyszukanego: na betonowym fundamencie polny głaz. Szklana tablica z napisem: „99 żołnierzom I Armii Wojska Polskiego i 9 żołnierzom Armii Radzieckiej poległym 30–31 stycznia 1945 r. w walce o wyzwolenie Złotowa”.

Instytut Pamięci Narodowej od dawna miał chrapkę na ten pomnik. Ale na demontaż musiał wydać zgodę samorząd. Do niedawna miał mie-

Druga wojna z trupami



szane uczucia. W 2020 r. odbyły się uroczystości z okazji 75. rocznicy powrotu Ziemi Złotowskiej do macierzy. Była msza za ojczyznę, apel pamięci, prezentacja jednostek wojskowych, salwa honorowa, wojskowa grochówka, koncert. Wśród gości prym wiodli staruszkowie – wyzwoliciele w czapkach z tamtych dni. Nie zdążyli do Andersa. Mieli czapki z orłami bez korony. No i co, że tylko w marcu i kwietniu 1945 r. w operacji pomorskiej poległo ich 8668?

Gdy wybuchła wojna w Ukrainie, ktoś potłukł tablicę na pomniku.

Polacy z Ruskimi ramię w ramię? Na to nie ma zgody po zbombardowaniu Kijowa – orzekł

wójt Piotr Lach. W pełni podzielam opinię IPN. Trzeba pomnik zdemontować. Przeprowadziłem konsultacje. Nie było sprzeciwu.

W środę 20 kwietnia 2022 r. rozważono monument. Wójt przyglądał się razem z posłem Marcinem Porzuckim z PiS.

Pomnik symbolizował braterstwo polsko-radzieckie, które było fikcją... Rosjanie w ogóle się nie zmienili. Oni nadal mordują, gwałcą i grabią – oświadczył parlamentarzysta.

Przy alei Zwycięstwa w Gdańsku na postumencie

stoi czołg.

Karol Rabenda, wiceminister aktywów państwowych, bardzo się rozczulił. Rosja napada na Ukrainę, a my promujemy ruski tank?! Zabytek historyczny? Też coś!

Epoka, gdy w Polsce stały radzieckie czołgi, już dawno się skończyła – oświadczył na konferencji prasowej. Ten czołg może gdzieś stać, ale nie przy alei Zwycięstwa. To jest miejsce na pomnik Anny Walentynowicz czy innej kobiety z „Solidarności”.

Do apelu przyłączyła się Natalia Nitek-Piażyńska, żona posła PiS Kacpra Piażyńskiego. Zebrała trzydziestu wrogów czołgu. Owinięła go czarną folią i nakleiła list przewozowy z adresem „Putler Kreml”. Do tego napis: „Won za Don!”.

Ratusz nie zajął jednoznacznej stanowiska. Bo z jednej strony tocząca się w Ukrainie wojna jest zbrodnicza, a z drugiej ten tank był pierwszym czołgiem, który wdarł się 27 marca 1945 r. do Gdyni...

Miał numer taktyczny 121. Służyła w nim polska załoga 1. Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, dowodzona przez polskiego oficera – porucznika Juliana Miazgę. Kierowcą był Procek, ładowniczym Subocz, strzelcem i radiooperatorem Morawski.

W Trójmieście czołg został z konieczności. Przestało mu się powodzić: został trafiony pociskiem przeciwpancernym. Strzelec wyborowy ciężko ranił Miazgę w płuca.

Co robić? – rozważał ratusz. Przecież na czołgu nigdy nie było radzieckiej gwiazdy, tylko polska krew.

Niech rozstrzygną środowiska weteranów II wojny światowej – zdjął ze swoich barków ciężar decyzji. Związki zrzeszające kombatanów powiedziały czołgowi „tak”, na razie więc stoi przy alei Zwycięstwa, choć wiceminister Rabenda dopinguje, że jeśli Gdańsk nie stać na wywózkę, to transport zapewni PiS.

August Grabski jest doktorem habilitowanym historii. Wnukiem żołnierza 1. Armii Wojska Polskiego. Nie ukrywa, że

trzej bracia jego babci

walczyli w Armii Czerwonej. Powtarzam pytania, które zawarł we własnie rozsyłanym „Liście otwartym do weteranów Wojska Polskiego”, bo w amoku poczynił PiS odpowiedzi stają się coraz mniej oczywiste:

- Czy w sytuacji gdy ponad 80 procent sił niemieckich walczyło na froncie wschodnim, nie odegrał on decydującej roli w działaniach wojennych w Europie?

- Co by się stało z Polską i w ogóle ze Słowiańszczyzną, gdyby Armia Czerwona poniosła klęskę w walce z hitleryzmem?

- Czy to słuszne, że Wrocław, Szczecin, Kołobrzeg, Gdańsk i Olsztyn należą do Polski?

- Czy to dobrze, że Związek Radziecki dał możliwość walki z hitleryzmem w szeregach ludowego Wojska Polskiego 370 tysiącom żołnierzy?

- Czy to dobrze, że Armia Czerwona wyzwoliła Oświęcim, Majdanek i setki pomniejszych obozów i katowni hitlerowskich?

- Czy nie jest powodem do dumy, że polski sztandar powiewał nad Berlinem?

„Niesprawiedliwość wobec ofiar, gwałtem na historii i prawdzie historycznej, na przyzwoitości jest stawianie na cokołach tych, którzy niewolili wolne, niepodległe państwa, tych, którzy zadawali ból i cierpienie kobietom i dzieciom” – mówił w kwietniu 2022 r. prezes IPN Karol Nawrocki, obserwując

rozwalenie pomnika

w Siedlcach.

IPN informuje, że to nie koniec sprzątaniny. W Polsce jest ok. 60 obiektów podobnych do pomnika z Międzybłocia i czołgu z Gdańska. Wojna domowa w sferze symboli jeszcze się rozpędzi...

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

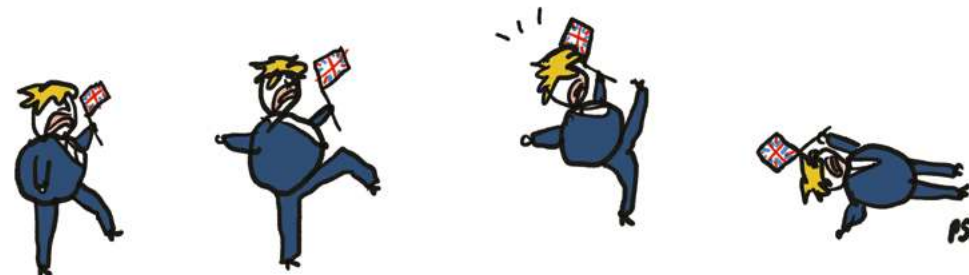
Odejście premiera Johnsona niewątpliwie kończy szczególnie rozrywkowy etap w historii brytyjskiej polityki.

Fakt, że ktoś taki mógł przez 3 lata rządzić Zjednoczonym Królestwem, które fetyszyzuje „posiadanie klasy” jak najważniejszą cnotę publiczną, ile prywatną – i do tego robić to w imieniu konserwatystów – dowodzi głębi trafności teorii postpolityki.

Pożegnalne wystąpienie Borisa Johnsona było absolutnie czarujące. Premier w końcu dał się przegnać z urzędu, po tym jak pięćdziesięciu członków jego rządu odeszło w protestie przeciwko ciągłemu skandalu – najnowszy to mianowanie zastępcą rzecznika dyscypliny Chrisa Pinchera, od lat oskarżanego o obmacywanie młodych mężczyzn z kręgów partyjnych, połączone z sugestią partyjnych awansów. Wcześniejsze dotyczyły balang na Downing Street w okresie lockdownu, pijaństwa niższych urzędników ignorowanego przez wyższych – jeden z melanży odbył się w dniu pogrzebu księcia Filipa – a także wysepiania od partyjnych sponsorów niezarejestrowanych oficjalnie datków na remont apartamentu przy Downing Street 10 na kwotę łącznie przekraczającą równowartość miliona złotych.

Oprócz rysu wizerunkowych problemem była także jakość rządzenia – głównie związana z kosztami życia – która sprawiła, że 3 lata po spektakularnym zwycięstwie torysi mają w sondażach 10 procent mniej poparcia niż laburzyści. Tego wszystkiego próżno było jednak szukać w pożegnalnym wystąpieniu premiera, który orzekł z wdziękiem, że usiłował

Bye, bye, Boris



przekonać kolegów, że zmiana jego znakomitego rządu jest pomysłem „ekscentrycznym”, ale w Westminsterze panuje instynkt stadny i „gdy stado rusza, to rusza”.

Ale w tym – żeby zacytować – ekscentrycznym wystąpieniu ustępującego szefa Partii Konserwatywnej pojawiło się jedno stwierdzenie, które nie było szeroko komentowane, choć moim zdaniem wyrażało na to zasługę. Pochwaliwszy swój „szeroki, największy od stulecia program inwestycji w infrastrukturę oraz umiejętności i technologię”, Johnson wygłosił następujące credo: „Ponieważ jeżeli wiem coś o ludziach, to wiem tyle, że geniusz, talent, entuzjazm i wyobraźnia są równomiernie rozmieszczone w całej populacji, podczas gdy możliwości nie są. I dlatego musimy nadal dążyć do wyrównywania szans”.

Pytanie: co w tym dziwnego? Otóż mówi to lider najbardziej konserwatywnej partii najbardziej klasowego społeczeństwa w Europie. I nawet on w krótkim, zaledwie 6-minutowym wystąpieniu uważa za stosowne umieścić pochwałę równości. To nieprawdopodobny postęp lewicowego myślenia, które dziś stało się myśleniem powszechnym do tego stopnia, że nikogo takie słowa nie dziwią nawet w ustach prawnicowego

populisty. To potencjał, na którym lewica – także polska – powinna budować znacznie bardziej odważnie niż dotychczas.

Niedawno w „Gazecie Wyborczej” współczesny apostoł równości, Thomas Piketty, zaprezentował swoją „radę dla polskiej opozycji”. Brzmiała ona: „Więcej redystrybucji, a pokonanie PiS”. Rozmawiający z francuskim myślicielem red. Miłosz Wiatrowski jest wyraźnie nieprzekonany do słuszności czy też raczej realności tej rady: „Proponuje pan wiele bardzo odważnych reform gospodarczych, ale skąd znaleźć do tego wolę polityczną? To populistyczna prawica, a nie socjaldemokracja, jest od dekady w natarciu”.

Myślę, że w tym pytaniu zawiera się już odpowiedź: jeśli „populistycznej prawicy” przeciwstawiamy „socjaldemokrację”, to zgłaszamy golfistę do walki w klatce. Wynik nie jest trudny do przewidzenia. Prawdziwa dyskusja – zarówno w Polsce, jak i w UE, UK czy USA – powinna toczyć się między populistyczną prawicą i takąż lewicą.

W kwietniowej rozmowie w „New York Timesie” Piketty mówił o tym, co dało Trumpowi zaufanie tzw. klasy średniej, czyli po naszymu klasy pracującej: otóż ludziom, którym coraz

trudniej było utrzymać się z pracy, choć pracowali coraz więcej, Trump powiedział, że ochroni ich przed tymi, którzy ich z owoców tej pracy okradają; wskazując Chińczyków, Meksykanów, muzułmanów, imigrantów... Tymczasem prawda jest taka – w Stanach i wszędzie indziej – że to rosnąca klasa miliarderów okrada zwykłych ludzi z ich zarobków.

To coś, czego nie mówimy i nie słyszymy dostatecznie często: opodatkowanie najbogatszych jest niezbędne do rzeczywistego zmniejszania nierówności; to nie jest jakieś ćwiczenie na rzecz dobrego samopoczucia biedniejszych. Według tegorocznego raportu Oxfam

po dwóch latach pandemii dziesięciu najbogatszych ludzi na świecie podwoiło swoje fortuny, z 700 mld do 1,5 bln dolarów;

tych dziesięciu gości ma dziś więcej majątku niż dolne 3 miliardy ludzkości. Gdyby tych dziesięciu facetów obłożył jednorazowym podatkiem w wysokości 99 procent ich pandemicznych zarobków – co pozwoliłoby na zaszczepienie całego świata i załatwienie największych dziur w służbie zdrowia i opiece medycznej w 80 najbardziej „nierównych” krajach świata – ta dziesiątka krwiopiczów nadal byłaby o 8 mld dolarów bogatsza niż przed pandemią.

Demokracja liberalna w połączeniu z neoliberalnym kapitalizmem doprowadziła do sytuacji, w której najbardziej chronioną mniejszością jest mniejszość miliarderów. Powiedzenie, że ta sytuacja wymaga zmiany, to jest lejtmotyw dla lewicowej kampanii.

AWŁ

Donald Tusk może mieć poważne kłopoty. Naraził się katolikom, a to przecież grupa trzymająca władzę. Katolicy żądają, aby sprawą przewodniczącego PO zajął się jak najszybciej jego biskup. Wśród przewidywanych konsekwencji brak dostępu do opłatka; może dojść nawet do ekskomuniki.

Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi słynie głównie z tego, iż napastuje emerytów korespondencją, w której domaga się włączenia w coraz to nowe „dzieła” służące krzewieniu wiary katolickiej i napychaniu kabzy zarządowi stowarzyszenia. Oprócz podniosłych listów mających na celu manipulowanie emerytami, stowarzyszenie dostarcza starszkom gotowe blankiety, dzięki którym mogą wpłacić wybraną kwotę na kolejne kampanie i akcje. W zamian dostają obrazek albo medalik. Świetny deal. Z kulturą może ma to mało wspólnego, za to z chrześcijaństwem w wydaniu katolickim – sporo.

Stowarzyszenie jest ideologicznie i genealogicznie powiązane z brazylijską organizacją Tradycja, Rodzina i Własność. Nawiązanie do znaku brazylijskiego matecznika można znaleźć także w emblemacie Ordo Iuris. W taki oto krąg ideowy się zapuściliśmy... W Brazylii wyznawcy tej wiary mają na pieńku z biskupami. Tamtejsi hierarchowie przestrzegają przed współpracą ze stowarzyszeniem, bo „jego ezoteryczny charakter, fanatyzm religijny, kult, jakim obdarza się osobę jego założyciela oraz jego rodzicielki, nadużywanie imienia Najświętszej Maryi Panny, o czym krążą wieści, nie mogą w żaden sposób zasłużyć na aprobatę Kościoła. Z przykrością patrzymy na kłopotliwość świeckiego stowarzyszenia, które przybiera formę katolickiej instytucji religijnej, bez łączności z prawowitymi duszpasterzami. Tym samym biskupi Brazylii przestrzegają katolików, aby nie zapisywali się do TFP ani z nim nie współpracowali”.

W Polsce Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi też ma problem z oficjalną aprobatą Kościoła, choć nieustannie powołuje się na jego naukę i autorytet. Działają trochę na obrzeżach: z jednej strony fanatycy na skraju herezji, ale z drugiej zbyt zamożni i wpływowi, żeby ich głośno potępić. Biskupi znaleźli się w potrzasku, wybierając więc dobrze przetrenowane święte milczenie. I tak sobie kręcą te pobożne lody korespondencyjni naganiacze z Krakowa...

Ostatnio, zamiast do starówek, napisali do biskupa. Konkretnie do abepe Tadeusza Wojdy, metropolity gdańskiego, do której to diecezji przynajmniej nominalnie należy Donald Tusk. Członkom stowarzyszenia nie podoba się to, co były premier Polski i prezydent Europy wygaduje na temat płodów i ich ewentualnych losów do 12. tygodnia istnienia. Tusk obiecał, że jeśli Platforma wygra wybory, to zagwarantuje legalny dostęp do aborcji do 12. tygodnia po konsultacji z lekarzem.

Kto muska Tuska

Kolejny rozdział Kościoła od państwa.



Wcześniej deklarował „natychmiast po wygranych przez PO wyborach przeprowadzenie procesu oddzielenia Kościoła od państwa ze wszystkimi tego skutkami”. Tak widocznie wyszło mu z sondaży, bo wcześniej przecież pośpiesznie brał ślub kościelny i prezentował w tabloidzie domowy ołtarzyk. Taka była mądrość etapu... Nastroje się zmieniły, zwłaszcza wśród młodych i niezdeterminowanych, na kogo głosować. W badaniach CBOS prawie połowa młodych Polek zadeklarowała, że brała udział w jakiejś formie protestu po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji w 2020 r. Trudno zignorować taki potencjał wyborczy. Wrzutka o aborcji ma więc głębokie uzasadnienie polityczne, ale przysporzyła problemów konfesyjnych.

Członkowie Stowarzyszenia im. Skargi uznali, że to dobry czas na akcję wymierzoną w Tuska. Wybrali formułę przetestowaną w USA. Tamtejsi antyaborcjonści wymuszają na hierarchach kościelnych, aby publicznie potępiili przystępowanie do komunii polityków, którzy przyczyniają się do rzezi „nienarodzonych”, i zabronili tego. Biskupi zaś chętnie na to przystają, przysparzając sobie popularności w konserwatywnych kręgach. A na popularność i bonusy z nią się wiążące każdy jest łasy.

Nie może sobie przecieżyć byle wymoczek wykląć polityka i tym samym wpłynąć na część jego elektoratu, a zatem losy jego kariery.

W liście otwartym do abepe Wojdy, pod którym – według twierdzeń autorów – podpisało się już niemal 5000 internautów, oburzeni Tuskiem piszą: „Czcigodny Księżu Arcybiskupie! Donald Tusk, będąc znanym mieszkańcem Sopotu, nadal pozostaje diecezjaninem podległym władzy biskupiej metropolity gdańskiego. Uważamy, że jako człowiek deklarujący wiarę katolicką oraz powołujący

się na chrześcijaństwo podczas swej kariery jako polityk »europejskiej chrześcijańskiej demokracji« powinien on zostać publicznie upomniany. Spór o aborcję w Polsce przychł, jednak Donald Tusk nieodpowiedzialnie stara się go wzbudzić i zbić na tym kapitał wyborczy. (...) Część amerykańskich biskupów – z biskupem Salvatore Cordileone z San Francisco na czele – kilka tygodni temu wprost wskazała i wezwwała do nawrócenia bardzo ważnych amerykańskich polityków katolików, którzy deklarując poparcie dla dopuszczalności aborcji, sami wykluczyli się z Komunii z Kościołem. Gorąco prosimy Księdza Arcybiskupa o podobny gest miłosierdzia i sprawiedliwości wobec Donalda Tuska – gest, który przypomni pewnej części ochrzczonych, ale nieodpowiedzialnych polityków polskich, że aborcja nigdy nie powinna stać się elementem gry politycznej (...). Pragniemy wyrazić nadzieję, że postulowana przez nas duszpasterska interwencja w sprawie diecezjanina gdańskiego, Donalda Tuska, przyczyni się właśnie do tego, aby polscy politycy pozostający katolikami nie domagali się już więcej »prawa do aborcji«. Zdajemy sobie sprawę, że występujemy z niecodzienną prośbą, której osobiste konsekwencje mogą być dla Waszej Ekscelencji dotkliwe. Dlatego też zapewniamy o naszym pełnym wsparciu oraz o gorącej modlitwie za Księdza Arcybiskupa”.

Za publicznym upomnieniem Donalda Tuska opowiadają się przedstawiciele propisowskich mediów. Paweł Lisicki, redaktor naczelny prorządowego tygodnika „Do Rzeczy”, tak się odniósł do akcji krakowskich oszołomów: „Brak zdecydowanej reakcji Kościoła jest bardzo niebezpieczny. To oswajanie ludzi z tym, że takie poglądy ma ktoś, kto nazywa siebie chadekiem czy chrześcijańskim politykiem”.

Pisowcy zawsze i wszędzie chętnie dowalą Tusкови, to pewniejsze niż amen w pacierzu. Ale takie bezprecedensowe imienne potępienie z ambony i zakaz przyjmowania komunii byłyby dla Tuska świetną reklamą wśród mniej zaangażowanych w „obronę życia”. Panowie od cudownych medalików wciskanych emerytkom to się jednak znają na marketingu jak mało kto... Powinni wysłać przewodniczącemu PO stosowny blankiet z deklaracją wpłaty na cele statutowe stowarzyszenia.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Europie nie jest potrzebna **zmiana płci** czy redefinicja małżeństwa i rodziny, rozszerzanie prawa do zabijania tych najslabszych. Ale żeby Europa mogła przetrwać, musi wyzwoić się z pychy i niszczącego jej jednosc – egoizmu. Jakże potrzebna jest dziś Europie **modlitwa różańcowa!**

bp Wiesław Szlachetka, homilia, 12 lipca

■ W dzisiejszych rodzinach polskich, europejskich, w kręgu kultury euroatlantycznej obserwujemy zjawiska i postawy patologiczne, które wymagają uzdrowienia. Z najważniejszych negatywnych zjawisk trzeba wymienić 2 najgroźniejsze dla duchowo-materiałnej kondycji rodziny. Pierwszym z nich jest agresja przeciw życiu, przejawiająca się w **aborcji, antykoncepcji i eutanazji**. (...) Drugą chorobą dzisiejszej rodziny jest słaba obrona przed deprawacją młodego pokolenia przez **seksualizację dzieci i młodzieży**. Liberalni ideolodzy, związani z ideologią gender, chcą przyzwyczaić ludzi, w tym dzieci i młodzież, do seksualnej wolności.

bp Ignacy Dec, homilia, 11 lipca

■ Odrzucając prawdę o mężczyźnie i kobiecie, tracamy fundamentalny ład, na którym zbudowana jest nasza kultura i cywilizacja. Bez obrony **tożsamości mężczyzny i kobiety**, ich relacji prowadzącej do małżeństwa, a w nim do macierzyństwa

i ojcostwa, zatracimy sens wszystkiego. Zatracimy naszą cywilizację.

dr Andrzej Mazan, „Nasz Dziennik”, 11 lipca

■ **Konstytucja** stanowi jednoznacznie: rodzina, której małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny jest fundamentem, macierzyństwo i rodzicielstwo są pod ochroną prawną Rzeczypospolitej Polskiej. Jest tak, bo od tego zależy przyszłość. Tego uczymy polskie dzieci. Tak będziemy uczyć polskie dzieci. Tak wszyscy musimy uczyć. **Rodzice** nie mogą abdykować, nie mogą wyswobodzić się z obowiązku wychowywania. **Szkola** wychowuje, ale jako druga.

Przemysław Czarnek, „Nasz Dziennik”, 11 lipca

■ Niektórzy pytają, kto w dobie zagrożenia odda życie w imię **tęczowej flagi**. Trzeba jasno i odważnie powiedzieć, że w polskiej tradycji bohaterskie czyny patriotyczne były ściśle związane z wiarą katolicką.

dalej Dec

■ Dzięki temu, że jako naród wspólnie w **wartościach chrześcijańskich** trwamy od ponad 1050 lat – niezależnie od tego, czy w danym momencie mamy państwowość, czy nie – rozumiemy, ile te wartości znaczą i jaka jest ich siła. Dlatego wielkim naszym zadaniem, które tak dzielnie realizuje **Rodzina Radia Maryja**, jest strzeżenie tych wartości.

Andrzej Duda,
pielgrzymka Radia Maryja na Jasną Górę, 10 lipca

■ Gdyby na rynku mediów nie było **Radia Maryja**, Polska byłaby innym krajem. Inna byłaby nasza rzeczywistość społeczna i polityczna. Nasza sytuacja byłaby trudniejsza, a **wyzwania** jeszcze bardziej wymagające niż obecnie. Czytelnicy skazani byłiby na tytuły, które wydawane są w naszym kraju za obce pieniądze.

dr Hanna Karp, „Nasz Dziennik”, 12 lipca

■ Gdyby nie **Radio Maryja**, nie wiadomo, jak potoczyłyby się kolejne lata mojego życia. W mojej rodzinie zaczęło brakować środków finansowych, trudności materialne powodowały kolejne kłopoty, w tym nawet ucieczkę w alkohol. Radio Maryja pozwoliło na nowo odkryć **sens życia** i dało siłę.

Jarosław Czarniecki, organizator pielgrzymek,
„Nasz Dziennik”, 11 lipca

■ Nie byłoby tego radia i dzieł, które wokół niego powstały, a więc Telewizji Trwam, Akademii Kultury Społecznej i Medialnej, Sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II, Parku Pamięci Narodowej, „Naszego Dziennika”, gdyby nie **Ojciec Tadeusz**, człowiek skromny, ale **wybitny!** Człowiek na nasze czasy, dany przez bożą Opatrzność. Odważny wobec wyzwań, nieugięty, zachowujący spokój ducha wobec tych, którzy nieustannie mówią kłamliwie wszelkie zło na niego. A co najważniejsze: kocha Matkę Bożą! I w tym właśnie kryje się sekret jego charyzmatu. To nie są komplementy. To są fakty!

dalej Szlachetka

■ Dopiero **Radio Maryja** przyniosło przekaz, który wyrasta z polskiej historii i odwołuje się do wartości chrześcijańskich, katolickich i narodowych, które są fundamentem naszej historii i naszego narodu. Dzięki temu dzisiaj mamy w **sejmie** większość ludzi, dla których jedność wartości katolickich, chrześcijańskich, narodowych i niepodległościowych jest czymś oczywistym. Bywają różnice taktyczne, szczegółowe itd., ale jeżeli chodzi o przekaz ideowy, to on w obecnej elicie politycznej absolutnie jest ukształtowany przez Radio Maryja.

Antoni Macierewicz, Radio Maryja, 9 lipca

Wybrał **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

■ Na portalu „Same Plusy” – projekcie zespołu Świeckie Państwo Rady Konsultacyjnej OSK i stowarzyszenia Kongres Świeckości – proste rachunki. Populacja Polski wynosi 37,5 miliona ludzi (dane Głównego Urzędu Statystycznego). Z tego ochrzczeni (według danych Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego) to 86 procent, czyli 32,3 miliona osób. Zobowiązani do uczestnictwa w niedzielnej mszy w kościele (osoby powyżej siódmego roku życia, z wyłączeniem obłożnie chorych oraz starszych o ograniczonych możliwościach poruszania się) to 82 procent ochrzczonych, czyli z 32,3 miliona, co równa się 26,5 miliona osób. Z tej grupy – według obliczeń ISKK – uczęszcza do kościoła 36,9 procent, czyli 9,78 miliona. Tylu mamy – w liczbach bezwzględnych – aktywnych katolików w Polsce. 9,78 miliona osób z całej populacji Polaków to 26 procent. Dlaczego więc mówimy, że katolicy to w Polsce większość? To zdecydowana mniejszość. Powinniśmy im zapewnić takie prawa jak innym mniejszościom, np. społeczności LGBT.

■ Odbędzie się 31. Pielgrzymka Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę. Podliczać się i bić pokłony nie przed Matką Boską, ale przed ojcem Tadeuszem Rydzykiem przybyli Prezydent RP Andrzej Duda, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek i kilku innych polityków. Wszystko w normie: sejmem, rządem i Trybunałem Konstytucyjnym trzęsie zwykły poseł Jarosław Kaczyński, a całym polskim Kościołem katolickim zwykły zakonnik.

■ Urzędnik państwowy, wiceminister sprawiedliwości i zarazem poseł Solidarnej Polski Marcin Warchoł ogłosił, że powstał komitet, który ma w 3 miesiące zebrać 100 tys. podpisów pod inicjatywą obywatelską w obronie chrześcijan i ludzi wierzących. Inicjatywa obywatelska, jak widać z tego komunikatu, jest głównie inicjatywą Solidarnej Polski, partii będącej w koalicji rządzącej krajem już drugą kadencję.

1. Jedną z cudownych cech Ameryki: nieograniczone możliwości awansu. Wśród zawodów wykonywanych na oświadczenie woli na zderegulowanym rynku pracy jest prorok. Okazuje się, że Pan przemawia do szczególnie licznych grona Amerykanów. Należy do nich prorok Manuel Johnson z Duszpasterstwa Mega-chwały, który swego czasu kupił Jezusowi motocykl marki BMW – na osobiste i wyraźnie zwerbalizowane życzenie Zbawiciela. Ostatnio prorok Manuel wszedł w politykę. „To, co teraz powiem, to nie jest proroctwo; to konstytucyjny fakt” – poinformował wiernych. „Gdy popularność prezydenta spadnie poniżej 20 proc., to daje Kongresowi i armii prawo, żeby wkroczyć i usunąć tę osobę z zajmowanego stanowiska”. A my się jednak upieramy, że to było proroctwo. Jezus mu powiedział podczas ostatniej przejażdżki na motorze.

2. Policja z Queensland w Australii aresztowała dwunastu członków lokalnego chrześcijańskiego kultu o nazwie Święci z Toowoomba. Dołączyli oni do Jasona i Kerrie Struhsów – rodziców 8-letniej Elizabeth Rose, która umarła, po tym jak tatuś z mamią postanowili przestać jej podawać insulinę na jej cukrzycę typu 1 i zamiast tego urządzili z braćmi i siostrami w wierze spotkanie modlitewne, podczas którego śpiewali hymny i prosili Boga o interwencję. Dziecko zmarło po sześciu dniach. Teraz jej rodzice, a także dwunastu innych „Świętych”, którzy brali udział w sesji „uleczania”, obserwowali śmierć dziecka i nie podjęli próby wezwania pogotowia, są oskarżeni o zabójstwo, tortury i zaniedbanie. Podobno wszyscy byli bardzo zdziwieni, albowiem żywili najświętszego przekonanie, że Bóg wskrzesi dziewczynkę, jeśli jeszcze trochę się pomodlą.

3. W Burkina Faso 34 osoby zostały zamordowane w jeden weekend przez dżihadystów z grup powiązanych z Państwem Islamskim i Al-Kaida. W Bourasso w prowincji Kossi członkowie bojówek, strzelając na oślep, zabili 22 przechodniów; w Namissiguima w prowincji Yatenga ofiar strzelaniny było 12. Masakry mieszkańców, dokonywane przez islamskich oszołomów, są w tym kraju normą – poprzednia, z końca maja, pochłonęła co najmniej 50 ofiar w Madoari w prowincji Komienga. W sumie ocenia się, że od początku rebelii, czyli od roku 2015, zginęło w niej ponad 2000 osób, a 1,8 miliona musiało uciekać ze swoich domów. Dla porządku: wbrew narracji różnych chrześcijańskich portali zbrodnica działalność dżihadystów nie ma wyłącznego charakteru „prześladowania chrześcijan”; giną także wyznawcy islamu i rdzennych religii afrykańskich.

4. Hiszpańska Fundacja Chrześcijańskich Prawników wdała się w śmiertelnie poważny spór z popularnym komikiem Héctorem de Miguelem, który ogłosił, że bazylika w Dolinie Poległych – monstrualne mauzoleum, które Franco zbudował sam dla siebie rękami więźniów – to „kurewskie gówno”, które trzeba wysadzić w powietrze. Obróńcy uczużali likwidacji programu radiowego de Miguela i zaczęli zbierać podpisy pod petycją w tej sprawie. W odpowiedzi de Miguel wystosował własną petycję: „Jako zwolennicy demokracji, państwa prawa i komedii domagamy się, aby fundamentalistyczna organizacja Chrześcijańscy Prawnicy wylizała mi

WIARA CZYNI CZUBA

jaja i rów od tyłu. Wiem, że nie jestem już w ich ulubionym przedziale wiekowym, ale uważam, że przynajmniej tyle mogą zrobić, aby zrekompensować wszystkie szkody, jakie wyrządzili społeczeństwu”.

5. Niejaka Lauren Muzyka (dlaczego katolskie oszołomy w USA tak często noszą polsko brzmiące nazwiska?) otrzymała tytuł „Kobiety Pro Life Roku” za działalność w organizacji Chodnikowi Adwokaci Za Życiem. Ta organizacja nadzoruje i koordynuje grupki nawiedzeńców, które okupują chodniki przed klinikami aborcyjnymi i usiłują zniechęcić kobiety do wejścia do środka. Pani Muzyka, przyjmując nagrodę, opowiedziała, że jej chodnikowa organizacja „oszczędza życie prawie 4,5 tysiąca dzieci rocznie”. Po czym opowiedziała wzruszającą historię o tym, jak dopadła jedną niewiastę, która wprawdzie weszła do kliniki, ale „poczuła ciemność aborcji i wybrała życie”, które Muzyka „kilka miesięcy później miała okazję trzymać w ramionach”. Skoro trzymała jedno – to skąd wie, że ratuje 4,5 tysiąca rocznie?

6. Tetsuya Yamagami – zabójca byłego premiera Japonii Shinzō Abego – wytłumaczył, że zabity był zwolennikiem Ruchu pod wezwaniem Ducha Świętego dla Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego, zwanego też sektą Sun Myung Moona, słynnego z wyłudzenia majątków od wyznawców. To dziadek Abego, Nobusuke Kishi, premier Japonii z końca lat 50., zaprosił sektę do kraju; był to jeden z ruchów konserwatywnych japońskich polityków na rzecz unikania widma komunizmu. Abe pozostał w przyjaźni z japońskimi przywódcami sekty, występując na ich spotkaniach, wysłał też list gratulacyjny na jeden ze zbiorowych ślubów, podczas którego tysiące osób spotykają się po raz pierwszy w życiu, żeby się pobrać. Tetsuya Yamagami twierdzi, że sekta zrujnowała jego rodzinę – stąd zemsta na jej orędowniku.

7. Indyjska reżyserka i aktywistka Leena Manimekalai stała się obiektem dwóch postępowań policyjnych i setek tysięcy gróbów online w związku z plakatem do filmu dokumentalnego, na którym widnieje przebrana za boginię Kali, z papierosem i tęczęwą flagą. Leena i inni twórcy filmu są oskarżani o obrazę uczuć religijnych i nieposzanowanie hinduskiej bogini, a hashtag „aresztować Leenę Manimekalai” robi karierę w hinduskim necie. Muzeum Aga Khan w Toronto, w którym odbyła się projekcja filmu, przeprasza za „nieumyślne obrażenie członków społeczności hinduskiej i innych wyznań”. Leena odpowiada: „Tam, skąd pochodzę, w wiejskim stanie Tamilnadu, Kali jest pogańską boginią; je mięso gotowane w krwi kozła, pije arak, pali służki i dziko tańczy. Mam prawo wyrwać moją kulturę z rąk tych fundamentalistycznych trolli”.



To prezydent Sri Lanki Goatabaya Rajapaksa, którego rodacy winią za drożyznę, 55-procentową inflację i największy kryzys gospodarczy od roku 1948. Rajapaksa uciekł przed gniewem wzburzonych obywateli na Malediwy. Bilet lotniczy w jedną stronę z Warszawy do stolicy Malediów Malé (z przesiadką w Dubaju) kosztuje 1438 zł. Bądźmy bardziej przewidujący niż Lankijczycy i zrzućmy się już dziś na bilet dla prezydenta Polski Andrzeja Dudy.

Długa pamięć o Wołyniu

No i stało się: wykrakałem. Minęły ledwie 4 miesiące z okładem, wojna trwa w najlepsze, za to słychać coraz głośniejsze patriotyczne okrzyki. Oliwy do tego ognia dołączył ambasador Ukrainy, mówiąc, że na Wołyniu nie tylko wyrzynano Polaków, ale też Polacy wyrzynali, co nie powinno dziwić ani oburzać, jeśli zna się działania „Ognia”, „Łupaszki” i licznych innych lokalnych watazków. Rozległ się, oczywiście, ryk oburzenia, żądania przeprosin, dymisji eksceleencji. Po prawdzie to Polacy w dwudziestolecu międzywojennym dali Ukraińcom żyjącym w granicach II RP nieźle popalić: dość wspomnieć akcję niszczenia cerkwi i katolicyzowania autochtonów na siłę, a były jeszcze dolegliwości innego rodzaju, np. polonizacja dzieci (dziś Czarnek próbuje wskrzeszać tę tradycję) czy utrudnienia w sprawach administracyjnych (do załatwiania spraw wymagano posługiwania się językiem polskim). Niestety polac-two woli na świat patrzeć przez pryzmat zbitej dupy i nie wie albo woli nie wiedzieć, co jest czym czego. I,

Cud nad Wisłą

Cieszcie się, Bracia Rodacy! Po piętnastu latach rządów PiSdokracji stał się kolejny cud nad Wisłą: nadprezes Placek ogłosił, że w Niemczech euro jest po 3 zł! Pinokio ogłosił, iż lada dzień zostanie wypłacona (niektórym) 14. emerytura, zaś zdaniem PAD Morze Bałtyckie jest wewnętrznym morzem UE – co znaczy, że odzyskałmy Królewicę.

PiSdzieckie fantasmagorie moi PT Rodacy kupują od lat bez mrugnięcia okiem. Rządząca partia i jej akolici zaprzepaścili dorobek wielu pokoleń Polaków. A boży ludek, sądząc po sondażach, już prawie w 40 procentach popiera politykę obecnie rządzących. Mimo galopującej drożyzny, mimo braków w sektorze energetycznym, mimo dewastacji armii i sądów, mimo zalewającej nas fali banknotowych dodruków, mimo nawrotu fali COVID-u bez reakcji ze strony rządzących – znacząca grupa moich Rodaków przyklaskuje pomysłom z Nowogrodzkiej.

Polacy nigdy nie przodowali w rozumieniu praw ekonomicznych. Na palcach jednej ręki można policzyć znaczą-

LISTONOSZ DONIOŚŁ

oczywiście, nie wspomina się o pomagających sobie mimo wszystko sąsiadach, o ostrzeganiu i wzajemnym przechowywaniu niedoszłych ofiar obu narodowości, co wiązało się z ryzykiem dołączenia do listy torturowanych i zabijanych.

Prawdziwi Polacy najpierw siedzieli cicho, potem zaczęły się szeptki, a teraz na ulicach coraz częściej słychać o konieczności ukrócenia „przywilejów” dla „Ukrów”. Niezawodni fani piłki kopanej, ulubieni patrioci Dyktaczora, wywiesili transparent informujący, że ich skleroza jest wybiórcza i że o czym jak o czym, ale o Wołyniu nie zapomnieli. Otwarta pozostaje kwestia, do czego jeszcze są gotowi się posunąć.

Waldemar Miksa, Gdańsk

cych polskich ekonomistów, niedocenianych zresztą przez pozostałych obywateli. Wychodzi na to, że mimo posiadania umiejętności czytania, pisania i liczenia suweren nigdy nie posiadał umiejętności analizowania rządowych posunięć w zakresie ekonomii. Uwierzył w to, co mówią „wybrańcy narodu” – i tak trwa to od lat. Wystarczy, że jakiś „wuuc” ogłosi kolejną pieniężną darowiznę, jakieś „...plus” lub czternastkę – i jedynie słuszną partia zyskuje nowych popleczników. Popleczników, którzy nie zauważają, że każdą dodatkową złotówkę otrzymują sami od siebie, przekładając pieniądze z jednej kieszeni do drugiej. Przecież rząd nic im nie daje – bo żaden rząd nie posiada pieniędzy! Chyba że sobie dodrukuje. (...)

Tego prostego prawa ekonomicznego nie są w stanie pojąć moi Rodacy swymi zaściankowymi umysłami. Już nie liczę na powrót Polski do normalności. Lecz żał mi moich wnuków, prawnuików etc. – dla nich szkodony jest los roboli za miskę ryżu. Zaś banda cwaniaków i nieudaczników nadal będzie hołubiona przez wielu pozbawionych mózgu Polaków.

Bartek Majeran

REKLAMA

WIEŚCI Z KRUCHTY



żony na Mount Evereście Lodowiec Przełęcz Potu-dniowej, ale zdecydowanie szybciej.

✦ Mecenas Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris, załkał, że dysponuje wielokrotnie niższym budżetem od takich lewicowych ośrodków jak Amnesty International, Helsińska Fundacja Praw Człowieka czy międzynarodowi aktywiści LGBT. Poruszeni tym wyznaniem, wołamy: „Pokaż budżet, pokaż budżet!”. Zwłaszcza listę darczyńców.

✦ Na dworcu PKP Warszawa Wschodnia pojawił się datkomat Caritas w ramach projektu „Technologia w służbie dobroczynności”. Mastercard i Caritas Polska zainstalowały kilkanaście takich datkomatów w różnych miejscach na terenie kraju, głównie na dworcach i lotniskach. Nie ma informacji, ile osób korzysta z datkomatów Caritas, tzn. ile osób wpłaciło jakąś kasę. I ile te wpłaty wyniosły. Takie zestawienie byłoby niezmiernie ciekawe.

✦ Jaś Kapela – lewicowy aktywista, autor „Krytyki Politycznej” – podczas konferencji przed galą jednej z federacji MMA zaprezentował swój tatuaż – skrót „JP2GMD”. „Jan Paweł II gwałcił małe dzieci to znaczy” – odpowiedział Kapela, poproszony o rozwinięcie skrótu. Tomasz Bartosiak, członek Partii Republikańskiej, zapowiedział doniesienie na Jasia do prokuratury. W ogóle byśmy o tatuażu Kapeli nie wiedzieli, ale Bartosiak nagłośnił sprawę. Jeszcze raz: co znaczy ten skrót?, jak to szło?

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

Jerzy J. Wiatr
Longin Pastusiak
Tadeusz Iwiński
Danuta Waniek
Bogusław Liberadzki
Krzysztof Janik
Tadeusz Wojciechowski
Tadeusz Klementewicz
Andrzej Wilk
Piotr Gadzinowski



Prof. Andrzej Romanowski
i historia dla dorosłych

Prof. Noam Chomsky
Europa i USA z dala od dyplomacji

Paweł Łysak
Po co społeczeństwu teatr

Polskę zalewa zboże z Ukrainy

tygodnikprzeglad.pl



Rok temu pisowscy posłowie błyskawicznie przeprowadzili przez sejm coś, czego nie pamiętali nawet najstarsi parlamentarzyści. Klepnięto ustawę, dotyczącą dwóch kawałków lasu. Jednego w Stalowej Woli, a drugiego – liczącego 238 ha – w Jaworznie. Nowe prawo odbierało teren Lasom Państwowym, po to żeby dać je innym podmiotom. Też zresztą należącym do państwa.

W Jaworznie odlesioną państwową ziemię miała posiadać również państwowa spółka ElectroMobility Poland (EMP), żeby już za momentik postawić tam fabrykę produkującą polski samochód elektryczny o nazwie Izera. Po roku las stoi, jak stał, a jego właścicielem wciąż są Lasy Państwowe. Firma ElectroMobility Poland ma się równie dobrze jak las, a może nawet lepiej.

Nie mogło być inaczej, bo firma powstała w październiku 2016 r., gdy podległe rządowi giganty – PGE, Energa, Enea oraz Tauron –

założyły spółkę

z kapitałem założycielskim 10 mln zł. Spółkę nazwano ElectroMobility Poland. Firma miała spowodować, że słowo Morawieckiego o tym, iż w 2025 r. po polskich drogach będzie jeździć milion samochodów elektrycznych, stanie się ciałem.

Spółka ruszyła i przez pierwsze miesiące jej aktywność sprowadzała się do wypłacania wynagrodzeń zatrudnionym tam kierownikom. To nie spodobало się nawet Morawieckiemu, ogłoszono więc, że 3 marca 2017 r. ruszy konkurs na projekt karo-serii małego miejskiego samochodu elektrycznego.

Zapowiedzi głosiły, że do czerwca zostanie wybranych 5 najlepszych projektów, a na ich podstawie do końca roku powstanie 5 prototypów z komponentów dostępnych na rynku. Coś nie wyszło, bo dopiero na początku września spółka ogłosiła, że konkurs na projekt nadwozia zostanie rozstrzygnięty za 12 dni. Za to w październiku 2017 r. miał zostać ogłoszony konkurs na budowę prototypów, którego wynik planowano ogłosić w grudniu 2018 r. Konkurs rozstrzygnięto, a 4 wygrane ekipy projektowe zainkasowały nagrody po 50 tys. zł.

Potem o spółce – w której ciągle pracowało kilkadziesiąt osób, pobie-

Z polskim samochodem elektrycznym jest jak z elektrownią w Ostrołęce: należy sobie dać z nim siana.

Niewolnicy

rając nader przyzwoite wynagrodzenia – do marca 2019 r. zrobiło się cicho. Zbliżały się jednak wybory, polski elektromobil musiał więc wrócić na pisowskie szlanki.

Morawiecki nie mógł jednak chwalić się tym, że w 2017 r. EMP wypłaciła stratę w wysokości 2,7 mln zł, z czego na wynagrodzenia poszło ponad 1,2 mln zł. To i tak nic, bo

straty firmy

na początku roku 2019 liczono już w dziesiątkach milionów złotych. Musiała się więc pojawić krzepiąca serca enuncjacja: „Spółka planuje teraz uruchomienie fabryki samochodów elektrycznych za 4,5 mld zł, z czego nie mniej niż 2,5 mld zł wyłożą Energa, Enea, PGE oraz Tauron”. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że nie napisano, co miałyby w takich zakładach być produkowane. Rząd nie nagłaśniał też informacji, że za produkcję polskiego samochodu elektrycznego odpowiadać ma mająca w Polsce 4 oddziały niemiecka firma EDAG Engineering. EMP, która nie dawała sobie rady, musiała wejść w układ z Niemcami choćby dlatego, że EDAG w poprzednich pięciu latach wprowadziła do masowej produkcji i na rynek 20 nowych modeli aut. Okazało się, że w Europie oprócz producentów aut są tylko 2 podmioty, które mają kompetencje do zaprojektowania tak pojazdu, jak fabryki do jego produkcji. I żaden z nich przed mariażem z niemiecką firmą nie miał nic wspólnego z Polską. Istotne było to, że ElectroMobility Poland zapowiedziała, iż planowany samochód elektryczny powstanie wstępnie w trzech wariantach i trafi do produkcji w latach 2022–2023.

Mimo że prosiło się, aby obietnica Morawieckiego została w wersji prototypu pokazana przed wyborami, EMP się nie wyrobiła. Nie udało się nawet na wybory prezydenckie. Premiera



polskiego samochodu elektrycznego, czyli Izery, odbyła się 28 lipca 2020 r. Pokazano dwie wersje – hatchback oraz SUV. Po pokazie zapadła błoga dla EMP cisza.

Firma mogła rozkoszować się pobieraniem uposażeń i brakiem zainteresowania. Do końca 2020 r. ElectroMobility Poland wydała ponad 53 mln zł.

Mogła tyle, bo do początkowych 10 milionów założyciele dorzucili kolejne 60 baniek. W końcu w tym samym roku 2020 po raz pierwszy padło hasło, że zakłady produkujące Izery będą zbudowane pod Jaworz-nem.

Politycy zdali egzamin i po pół roku EPM miała ustawę, a wraz z nią las. Można było rozpoczynać budowę. Zwłaszcza że rozpoznał kolejny zupełnie z dupy ruch. Upaństwowił coś, co było już państwowe. Na tym myku polski podatnik popłynął na razie na drobne 250 mln zł.

2 sierpnia 2021 r. na mocy umowy inwestycyjnej skarb państwa za ćwierć miliona złotych objął bowiem w EMP nowe udziały i stał się udziałowcem większościowym, co ludzie cokolwiek

kumający z ekonomii i polityki odebrali jako

przejaw idiotyzmu,

bo pozostałymi udziałowcami są przecież zarządzane przez ten sam skarb państwa: PGE Polska Grupa Energetyczna SA, Energa SA, Enea SA oraz Tauron Polska Energia SA.

„Zaangażowanie skarbu państwa w Izery jest gwarantem kontynuowania prac w najważniejszych obszarach i zapewnia projektowi stabilność” – mówił po uroczystości Piotr Zaremba, prezes ElectroMobility Poland, a eksperci pukali się w czoło, dodając, że dzięki temu mykowi zarobi kilka osób od Sasina, bo dojdą im nowe pola odpowiedzialności.

EMP ruszyła opowiadać mediom, że pod Jaworz-nem ma początkowo powstawać 30 proc. samochodu Izera, tzn. jego poszycie, zawieszenie, hamulce i wnętrze. Reszta będzie importowana. Dojście do 70 proc. polskości Izery ma nastąpić, gdy również akumulatory będą produkowane na Śląsku. I na tym koniec polskie-

go wkładu w Izery. Jej 30 proc. zawsze będzie do Polski sprowadzane. W III kwartale 2021 r. miała ruszyć budowa fabryki na 118-hektarowej działce. Produkcja Izery ma ruszyć na przełomie lat 2023–2024.

Państwowa firma EMP miała więc ustawę, na mocy której mogła przejąć od Lasów (równie) Państwowych las i kopać fundamenty pod fabrykę Izery. Przez kilka miesięcy trwało jednak pisanie mejli, bo źle napisana ustawa mogła wpakować pracowników Lasów Państwowych do pudła za niegospodarność. Papierologia umożliwiająca zgodne z prawem odlesienie lasu trwa i – zdaniem zainteresowanych – potrwa jeszcze długo. Rzecznik Lasów Państwowych stwierdził, że instytucja, którą reprezentuje, „nie zna harmonogramu budowy fabryki samochodów elektrycznych” oraz że „nie leży to w obszarze zainteresowań LP”.

Ludzie, którzy znają się na samochodach elektrycznych, radzą, żeby dać sobie z Izery siana. Przede wszystkim dlatego, że w 2024 r. obecnie pokazywany prototyp Izery będzie już przestarzały. A to przecież pod niego ma się tworzyć cały ciąg technologiczny...

Revolucja w elektrykach jest taka, że wszystko w branży zmienia się co chwila. Samochody sprzed kilku lat nadają się

na złom,

bo nikt nie produkuje już tak przestarzałego osprzętu, a zwłaszcza akumulatorów. Ich żywotność to średnio 6 lat.

Wejście nowej firmy na rynek aut elektrycznych to w Europie samobójstwo. Światowy prymat w produkcji i sieci serwisowej samochodów na prąd mają Chińczycy, którzy zdystansowali amerykańską Teslę. Teraz cały świat podbija chińska technologia firmy Nio polegająca na tym, że kupuje się samochód bez baterii, która jest wymienna. Dzięki temu nie trzeba auta ładować godzinami, bo wymiana akumulatora zajmuje dwie minuty. W Chinach stacji wymiany są już tysiące, w Europie weszli w pomysł Norwegowie, a gdy okazało się, że to działa, Nio ma zamówienia na stacje wymiany – i oczywiście swoje samochody – z całej Europy. Z wyjątkiem Polski, która z zapartym tchem czeka na finał farsy z Izery.

TADEUSZ JASIŃSKI

Nie udał się PiS-owi program „Mieszkanie plus”. Nie zbudowano nawet co drugiego z zapowiadanych przez Morawieckiego na rok 2019 stu tysięcy mieszkań z tanim czynszem. Prezes partii jednak już wie, czyja to jest wina. „Złamiemy tę dyktaturę deweloperów, bo to ona jest na przeszkodzie” – zapowiada. Deweloperzy mają bowiem „układy, które sięgają wszędzie. Wdzierają się do władzy, parlamentu, utrudniają uchwalanie odpowiednich ustaw”. Ugrupowanie Kaczyńskiego od niemal siedmiu lat ma w sejmie zdecydowaną, pozwalającą na uchwalenie niemal każdej ustawy większość. Skoro zatem nie ustanowiono prawa łamiącego kręgosłup deweloperskiej ośmiornicy, to logika prezesa wskazywałaby na to, że PiS jest zinfiltrowany przez deweloperów do cna.

Prawda jest oczywiście inna – prostsza. Mafii deweloperskiej nie ma, są natomiast posłowie niemający pojęcia, jak ugryźć masowe budownictwo, ale tak, aby na tym zarobić samemu i jeszcze podzielić się zyskiem z rodziną i znajomymi. Do tego bowiem sprowadzał się program „Mieszkanie plus” i jego następca, hulająca od kilkunastu miesięcy SIM, czyli Społeczna Inicjatywa Mieszkaniowa.

Obydwa pomysły polegały na tym samym: przepuszczaniu państwowego majątku w postaci ziemi i kasy przez samorządy i wskazane przez nie podmioty. Dzięki temu w cholerę krewnych i znajomych miało dobrą robotę, na którą, zamiast na budowanie bloków, szła publiczna kasa. Ale tego patologicznego łańcuszka ludzi, organizacji i firm, które zarabiały i zarabiają na mieszkaniowych pomysłach PiS-u, prezesowi jakoś się nie dostrzegło.

Dla Kaczyńskiego żli są deweloperzy. I to oczywiście jest prawda, ale wcale nie z tych powodów, o których mówi prezes.

Deweloperka jest bowiem prosta jak drut. Firma musi kupić splachetek ziemi. Załatwić papiery, żeby można było na nim coś wybudować. Wynająć fachowców od budowania i w tym momencie zacząć przysyłać mieszkanca sprzedawać. Oczywiście nikt nie buduje ani nie kupuje gruntu za własną kasę, ta – choćby deweloper był nie wiadomo jak bogaty – pochodzi z kredytu bankowego. Za odsetki od tej pożyczki i tak zapłaci nabywca mieszkania, najczęściej również mający kredyt w banku.

Kaczyński nie poda cegły

Dlaczego w Polsce nie buduje się ani nie będzie się budować wielu mieszkań.

Widać więc, dla kogo deweloperka jest najważniejsza. Dla banków. A ponieważ ich prezesi są blisko władzy, to na bankach spoczywa obowiązek lobbowania na rzecz budownictwa mieszkaniowego. Oczywiście we własnym dobrze pojętym bankowym interesie.

Żeby to zauważyć, wystarczy popatrzyć na państwowe formy wspierania ludzi chcących mieć własne mieszkanie. „Rodzina na swoim”, „Mieszkanie dla młodych” czy inne zwykle opierały się na naganianiu bankom klientów przez dopłaty do odsetek od kredytów. Wszystkie też kończyły się tym samym – podniesieniem cen mieszkań o kwoty pomocy od państwa. Zyskiwały na tych programach głównie banki, ale deweloperzy również. Traciło państwo, a dla kredytobiorców pomoc była zupełnie niedostrzegalna.

Formy pomocy państwa, polegające na wsparciu spłaty kredytów, ekonomiści określają jako wspomaganie popytu – to zaś kończy się wzrostem cen, czyli zysków banków i deweloperów. Gdyby państwo chciało coś z mieszkańiami zrobić naprawdę, to musiałyby samo i za własne pieniądze zacząć budować. Wówczas dzięki wzrostowi podaży mieszkań ich ceny by pospadały, a mieszkania stałyby się bardziej dostępne. Taki myk najbardziej zabolalby zarówno banki, którymi opiekuje się Morawiecki, jak i niemiłą Kaczyńskiemu branżą deweloperską.

Branża deweloperska opowiada o sobie, że przynosi 4,9 proc. produktu krajowego brutto i zapewnia setki tysięcy miejsc pracy. Mówi, że w Polsce działa ponad 1000 firm, które zajmują się budową mieszkań. Twierdzi, że „w miążdzącej większości są to małe rodzinne firmy, działające jedynie na obszarze miejscowości, z których się wywodzą. Najwięksi dewelope-

rzy w kraju odpowiadają natomiast za zaledwie ok. 3 proc. udziału w rynku”, co dowodzi, że „w takich warunkach możliwość zaistnienia w Polsce «układu» firm deweloperskich jest nierealna”.

Deweloperzy łkają, jacy oni są biedni. Podają, że średnie marże dużych firm budujących mieszkania oscylują od wielu lat wokół poziomu ok. 20 proc. brutto – kwot „nieuwzględniających kosztów administracyjnych po stronie przedsiębiorcy, związanych choćby z wynajmem biur czy kosztów marketingu, sprzedaży czy stałej obsługi danego przedsiębiorcy”. Takie głodne kawałki napisały firmy deweloperskie, bo poczuły się oskarżeniami Kaczyńskiego mocno ugodzone w ambicję. I właśnie ta ambicja kazała im nagiąć rzeczywistość. Pisanie o 20-procentowej marży, czyli narzucie własnego zarobku do kosztów, jest bowiem szczytem wszyściego.

Według ekspertów Biura Maklerskiego Pekao w 2021 r. marże te urosły o 15 proc. W przypadku giganta na tym rynku, firmy Dom Development, marża wyniosła w zeszłym roku 32,9 proc. Z każdego tysiąca złotych firma miała więc 329 zł zysku, z czego rzeczywiście musiała spłacić koszty zadłużenia, reklamy, zarządu i utrzymać niesprzedane mieszkania.

Innemu deweloperowi o nazwie Marvipol marża za rok 2021 wyniosła dokładnie jedną trzecią, czyli 33,3 proc. Opierając się na oficjalnych danych przekazanych przez deweloperów, eksperci doszli do wniosku, że z każdego sprzedanego mieszkania firma je budująca miała 140 tys. zł marży brutto.

Nie ma więc nic dziwnego w tym, że zyski firm deweloperskich rok temu były wyższe o 80 proc. 12 największych spółek odnotowało zysk netto w wysokości 1,65 mld zł. Poprzedni rekord z 2018 r., wynoszący 1,135 mld zł,

osiągnęło szesnastu giełdowych gigantów deweloperki mieszkaniowej.

Zeszły rok firmy Robyg i Atal kończyły z zarobkiem na czysto odpowiednio blisko 400 i ponad 330 mln zł. Dom Development był trzeci z zyskiem grubo powyżej 300 mln zł.

Dla świętego spokoju skonsultowałem te obliczenia z dwoma szefami firm deweloperskich, jednej z Warszawy i drugiej z Krakowa. Obaj pokiwali głowami, że dane są w porządku, ale tylko jeśli chodzi o sprawozdawczość podatkową. Prawda jest inna i niezmienna od lat. Każdy deweloper dmucha koszty do granic możliwości. Opowieści o tym, że z marży pokrywa się kasę dla personelu czy na reklamę, to ściema. Regułą w branży jest to, że mnożstwo zysku jest już w pozycji „koszty”. Na tyle sprytnie jednak poukrywano, że nie jest tych pieniędzy w stanie zakwestionować nawet skarbówka.

Obydwa deweloperzy przyznali się też do skali zysków. Te zaś wynikają z prostego pomnożenia kosztów przez 5. Dla nieumiejących liczyć – zysk wynosi 80 procent.

Z każdego mieszkania sprzedanego za 500 tys. zł plus VAT, na czysto do właścicieli firm budujących mieszkania trafia więc nie 140, ale 400 tys. zł.

Gdy na początku czerwca w Markach Kaczyński ogłaszał: „Pobiliśmy rekord i wybudowaliśmy 235 tys. mieszkań”, zapomniał widać, że to nie on wybudował ani nie PiS. Z wymienionej liczby deweloperzy oddali 141 tys. mieszkań. Lokale, które powstały dzięki pomocy publicznej, czyli TBS-y, budownictwo komunalne, socjalne czy z programu „Mieszkanie plus” to zaledwie 5 tys. mieszkań. Reszta to budowane bez żadnego wsparcia PiS domy jednorodzinne, które stawiali zwykli Polacy.

Istnieje też możliwość, że Kaczyńskiemu w politycznej gadce wcale nie chodziło o mieszkania, ale była to wrzutka freudowska. Powołał się przecież na przykłady krajów, które budowały dużo mieszkań publicznych. Były to Grecja i Hiszpania w latach 60. XX w. Pierwsza rządzona przez juntę czarnych pułkowników, druga przez dyktaturę katolickiego faszysty – generała Franco.

T.J.

Tradycja to zabobony plus miliony.

Ptaszysko w smietanie



Rys. PATRYK SROCIŃSKI

Wiele meczów turnieju wimbledońskiego oglądałem w mojej ulubionej knajpie. Właściciel jest kibicem tenisa, urządził kącik telewizyjny zapewniający się jego gośćmi, zwłaszcza podczas ważnych spotkań.

Fajniej ogląda się sport w towarzystwie niż samemu, to oczywiste. Nie tylko wspólnie przeżywa się atrakcyjne zagrania i trudne do pojęcia kikszy; można także wymieniać się opiniami. Stąd tak duża popularność pubów piłkarskich.

Właściciel restauracji w Konstancinie, do której często zaglądam, jest akurat kibicem przebijania rakietą małej piłeczki przez siatkę; zresztą i on, i jego dzieci grywają amatorsko. Dlatego wielki telewizor odpala tylko podczas turniejów tenisowych i tylko w osobnej salce dla znajomych.

1.

Telewizyjni komentatorzy często mówią o ogromnych pieniądzach, które są „do podniesienia” z kortów. Podczas Wimbledonu wspominali o tym częściej niż podczas innych turniejów, bo nigdzie tenisistom nie powodzi się tak dobrze jak tam. Dość powiedzieć, że w tym roku podczas turnieju zarobić można było 40,3 mln funtów, czyli ok. 46,8 mln euro. Przeliczenia na złotówki nie podaję, bo polska waluta leci na łeb na szyję, boję się więc, że zanim ten numer „NIE” opuści drukarnię, może to być już dawno nieaktualna wiadomość.

– Nie mogę pojąć, skąd biorą się takie pieniądze w tenisie. Po prostu nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. – Kiwał głową jeden z gości salki telewizyjnej w mojej ulubionej restauracji. Ponieważ nikt nie kwapił się z odpowiedzią, pan Tomek, właściciel przybytku, poinformował zebranych, że jest w zacytnym gronie dziennikarzy sportowych, i wskazał na mnie. Musiałem zabrać się do pracy.

Impreza wimbledońska różni się od pozostałych trzech turniejów Wielkiego Szlema. O ile Australian Open, US Open oraz French Open, zwany krótko Rolandem Garrosem, organizują federacje tenisowe tych krajów, o tyle właścicielem Wimbledonu jest prywatny All England Lawn Tennis and Croquet Club. Co ciekawe, tylko angielska impreza jest bardzo dochodowa i była taka nawet w czasie obostrzeń covidowych. Federacje tenisowe Australii, Francji i USA, mimo wielkich zysków z transmisji telewizyjnych i z reklam, są zadowolone, jeśli uda im się spiąć budżet. Bywa, że muszą się ratować kredytami. Bo nie tylko zyski z turniejów tenisowych są wielkie, ale koszty także. Wśród kosztów niebagatelną pozycję stanowią właśnie nagrody dla tenisistek i tenisistów. Zysk nie jest zresztą głównym celem federacji sportowych, czego nie można powiedzieć o prywatnych przedsiębiorstwach.

2.

Na trawiastych kortach Wimbledonu nie tylko szczerze płaci się tenisistom i tenisistom. Zapewnia się im komfortowe warunki pracy. Właścicielem jedynym ich wydatkiem jest bilet lotniczy. Na miejscu otrzymują ryczałt na wynajęcie domu lub pokoju hotelowego, a także możliwość korzystania z samochodu. Podczas innych turniejów zawodniczki i zawodnicy za wszystko muszą płacić, co powoduje, że duże pieniądze zarabiają tylko najlepsi, natomiast ci, którzy dopiero walczą o awans do czołówki i odpadają we wczesnych fazach gier, dokładają do interesu. Ta sytuacja powoduje zresztą spory ferment w środowisku i coraz częściej odzywają się żądania spłaszczenia płacowej drabinki.

Podczas turnieju wimbledońskiego nikt nie rzuca równościowych hasel, bo tu trafienie do turnieju głównego ustawia finansowo uczestników na cały sezon niezależnie od uzyskanego wyniku. Dotyczy to także Polaków, a nasz kraj był reprezentowany przez imponującą liczbę trzynastu tenisistek i tenisistów w grze pojedynczej i podwójnej.

Oczywiście o budżet **Igi Świątek** nie trzeba się martwić. Najlepsza tenisistka świata poradzi sobie finansowo i bez Wimbledonu, w którym odpadła w trzeciej rundzie, wyeliminowana przez Francuzkę **Alizé Cornet**, ale, co ciekawe, w Anglii od rakiety nr 1 w oficjalnym rankingu więcej zarobiła inna Polka: **Magdalena Fręch**. Podobnie jak Iga Świątek w singlu dotarła do trzeciej rundy, ale grała też w deblu.

3.

Inna sprawa, że luksusy zapewniane przez All England Lawn Tennis and Croquet Club przewracają niektórym w głowach. **Serena Williams** pojawiła się na trawiastych kortach po długiej przerwie, sądono już nawet, że zakończyła karierę. 40-letnia Amerykanka to legenda tenisa. 72 razy wygrywała turnieje WTA, w tym 23 wielkoszlemowe. W Londynie traktowana była przez wszystkich z należytym gwieździście szacunkiem. Gdy jednak zażyła sobie do końca trwania turnieju nie jednego, lecz pięciu samochodów (dla teamu i dla rodziny), organizatorzy odmówili. Zresztą Williams odpadła już w pierwszej rundzie po dramatycznym meczu z szerzej nieznaną Francuzką **Harmony Tan**. Serena zemściła się na organizatorach w ten sposób, że nie wzięła udziału w ceremonii zorganizowanej dla uczczenia setnej rocznicy istnienia kortu centralnego, na której pojawiło się wiele dawnych i obecnych gwiazd. Oficjalnie tłumaczono nieobecność tenisistki tym, że po porażce we wczesnej fazie turnieju wróciła do domu, ale dziennikarze widzieli ją w tym czasie na ulicach stolicy Anglii.

4.

Dlaczego All England Lawn Tennis and Croquet Club może pozwolić sobie na takie luksusy? Odpowiedź jest prosta. Dlatego, że sprzedaje 145-letnią tradycję. Wszystko tam jest tradycyjne: trawiasta nawierzchnia, kolory ręczników, stroje zawodniczek i zawodników, obowiązkowe truskawki ze śmietaną, którymi zajądają się kibice.

Kto chce zanurzyć się w tym świecie, ten musi słono za to zapłacić. Ci, którzy narzekają na ceny owoców na polskich bazarach, widocznie nie kupowali truskawek na Wimbledonie. Podczas każdego turnieju kibice zjadają ok. 30 ton truskawek. Porcje są niewielkie, składają się z dziesięciu owoców oblanymi śmietaną. Jedna truskawka w takim otoczeniu kosztuje prawie funta. Ale jak można sobie odmówić? W końcu truskawki ze śmietaną jadano już podczas pierwszego turnieju w 1877 r.

Podobnie wyśrubowane są ceny wszystkiego: przekąsek, napojów, gadżetów, wśród których poczesne miejsce zajmują piłki tenisowe ze słownym nadrukiem. Kontrakt na piłki z firmą Slazenger ma także ponad 100-letnią tradycję. A czy można opuścić wimbledońskie korty bez słynnego ręcznika? Kosztuje ponad 30 funtów. Ręczniki organizatorzy sprzedawali nawet na turniej w 2020 r., odwołany z powodu pandemii. Oczywiście była to sprzedaż internetowa, ale okazało się, że chętnych nie brakowało. Chęć posiadania pamiątki z imprezy, która nie istniała, przerosła wszelkie oczekiwania...

Po wszystko, poczynawszy od biletów, na wspomnianych truskawkach skończywszy, ustawiają się kolejki przypominające te, jakie za komunę ustawiały się przed sklepami mięsnymi. Ale przypominające tylko długością. W kolejkach Wimbledonu także obowiązują tradycyjne angielskie zasady. Nie do pomyślenia jest wypychanie kogoś i wmawianie mu, że tu nie stał.

O białych strojach i truskawkach ze śmietaną słyszeli pewnie wszyscy. Ale o sokole? Ta tradycja sięga ledwie końca XX w.

Organizatorzy hodują sokoła, który ma za zadanie odstraszać gołębi. Sokół ma imię, a nawet konto w mediach społecznościowych.

Ponieważ nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego na szczycie pucharu wręczanego zwycięzcy turnieju męskiego znajduje się ananas, próbowano sugerować, że jest to przysmak sokoła. Przyrodnicy oczywiście zaprotestują. Bzdura! Sokół żywią się ptakami, a łowią je w locie. Wimbledońskie gołębie mogą spokojnie spacerować po trawie. Sokół się nimi nie interesuje.

Wszystko, o czym pisałem, pokazuje, jak ważna jest tradycja dla organizatorów najstarszego na świecie turnieju tenisowego. Nic dziwnego, że bronią jej niczym sokół ich obiektu. Oni z tego żyją, tenisiści też.

5.

Od pewnego czasu, a w tym roku szczególnie głośno, panie protestują przeciwko obowiązkowym białym sukienkom. Zresztą nie tylko sukienkom. Białe muszą być buty, nawet ich spody nie mogą być kolorowe. Nie może być widoczny nawet kawałek kolorowej bielizny wystający spod stroju. Te idiotyczne zasady – twierdzą bojowe zawodniczki – stworzyli mężczyźni wiele lat temu. Może wówczas nie mówiło się o tym głośno, ale kobiety miewają menstruację. Tenis to taki sport, w którym trzeba dużo biegać, a czasem przyjmować niemal akrobatyczne pozycje. Miesiączkująca kobieta nie może być pewna, czy w takiej sytuacji na jej bieliznie, a nie daj Boże na sukience nie pojawi się kropla krwi. To poniża kobiety!

Miesiączka to rzeczywiście trudne dni dla sportsmenek. Głównie ze względów fizjologicznych i hormonalnych. Może kiedyś napiszę o tym więcej, bo temat jest poważniejszy, niż może się wydawać. Ale przyznaję, że choć interesuję się sportem od bardzo dawna, nigdy jeszcze nie widziałem zawodniczki ubrudzonej krwią menstruacyjną. A nawet gdyby, to co? Przecież w tym nie ma nic poniżającego. Może więc tenisistki nie powinny podnosić tego argumentu. Niech nie walczą z tradycją, bo właśnie dzięki niej na ich konta wpływa duża kasa od organizatorów Wimbledonu.

6.

Rozumie tę prawidłowość wielu kibiców tenisa, choć oni płacą za wimbledońskie tradycje, a nie zarabiają na nich. Organizatorzy czasem uginają się przed wezwaniem współczesności. Weźmy kort centralny, ten, którego stulecie uroczystości obchodzono w tym roku. Obiekt prawie nienaruszony przetrwał II wojnę światową. Ze względu na angielską deszczową pogodę, która często przerywała zawody, w 2009 r. zainstalowano nad nim rozsuwane dach. Nie obyło się bez licznych protestów zakochanych w tradycji kibiców. Ich zdaniem wprowadzenie tej nowinki naruszało święte miejsce.

Na korcie centralnym znajduje się łoża królewska. Przez wiele lat uczestnicy turnieju mieli obowiązek złożyć przed nią pokłon, choćby nie znajdowała się tam żadna osoba. Dopiero w 2003 r. książę Kentu, który był prezesem All England Lawn Tennis and Croquet Club, złagodził nieco ten wymóg. Teraz pokłon należy składać tylko wówczas, gdy w łoży zasiada królowa lub następcą tronu.

All England Lawn Tennis and Croquet Club działa pod patronatem księżnej Cambridge, która śledziła finałowy mecz turnieju pań z łoży królewskiej. Wygrała go **Jelena Rybakina**, tenisistka urodzona w Moskwie i do 2018 r. reprezentująca Rosję. Jak wiadomo, Rosjankom i Rosjanom zabroniono występu na kortach Wimbledonu. Rybakina zmieniła jednak obywatelstwo, zanim Rosja napadła na Ukrainę. Z królewskiej trybuny oklaskiwała ją księżna Cambridge, co wiele osób uznało za chichot historii. Ja tak nie uważam. Też ją oklaskiwałem w mojej ulubionej restauracji. Rybakina to świetna młoda reprezentantka Kazachstanu i nieraz jeszcze o niej będzie głośno. Wcale nie z politycznych powodów...

Wracając do głównego tematu: Rybakina stała się bogatsza o 2 miliony funtów. Wiadomo, kto za to zapłacił: telewidzowie, reklamodawcy, posiadacze biletów wstępu, amatorzy tradycyjnych pamiątek i wszyscy, którzy wcinali truskawki ze śmietaną na kortach Wimbledonu.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny
(zastępcy red. nac.),
Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat,
Tadeusz Jasinski, Michał Marszał, Marta Miecierska,
Maciej Mikolajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wolk-Laniewska,
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiuścacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 13.07.2022 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

– Tydzień, który trwa cztery dni? – zapytał Donald Tusk, ostatnia nadzieja białych i tęczy w pokonanie PiS-u w wyborach parlamentarnych. – Proszę mi to wyjaśnić.

Wynajęci przez piarowców z Platformy eksperci spojrzeli na Tuska jak na dziecko z niepełnosprawnością intelektualną.

– Tydzień będzie trwał siedem dni jak dotychczas. Cztery dni będzie trwał tydzień pracy – sprostował jeden z ekspertów. – To nieuchronne. Całkiem niedawno wprowadzono wolne soboty...

– Wolne soboty to wielkie osiągnięcie świata pracy – wyrecytował Tusk, czując, że robi się czerwony.

– Wolne piątki też będą takim osiągnięciem – włączył się do dyskusji drugi ekspert. – A potem wolne czwartki, środy, wtorki i poniedziałki. Dojdziemy do tego, że tydzień pracy będzie trwał zero dni.

– Niemożliwe! – zawołał Tusk i sięgnął do kieszeni, w której otworzył mu się antykomunistyczny nóż.

– Oczywiście, że możliwe – powiedział trzeci ekspert. – Automatyzacja, robotyzacja, komputeryzacja, technicyzacja. W procesie produkcji ludzie staną się zbędni.

– Ale przecież... – Tusk się zająknął – ...proces produkcji kształtuje byt, a byt kształtuje świadomość.

– Brawo! – Kolejny ekspert wstał i zaczął klaskać. – Jeszcze będzie z pana marksista.

– Jeśli czterodniowy tydzień pracy, to również gwarantowany dochód podstawowy! – ucieszył się Tusk, który wyraźnie nabrali swingu. – Skoro w przyszłości ludzie mają nie pracować, to już dziś powinni dostawać pieniądze za nic.

– Nie za nic, tylko za godność bycia istotą ludzką – odezwał się któryś ekspert. – Dochód podstawowy to genialne rozwiązanie! Niech pan tylko sobie wyobrazi: likwidacja wszystkich innych transferów socjalnych, czyli zmniejszenie biurokracji, uproszczenie danin publicznych, prawdziwa równość podatkowa, czyli komu więcej dano, od tego więcej wymagano.

– To Marks? – zapytał Tusk.

– Święty Łukasz – odparł ekspert. – „Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie, a komu wiele zlecono, tym więcej od niego żądać będą”.

– O, kurwa! – zaklął lider opozycji. – No to jednak nie! Obiecałem odprowadzenie Kościoła od władzy i zamierzam słowa dotrzymać.

Eksperci powstałi.

„Wykłęty, powstań, ludu ziemi! Powstańcie, których dręczy głód...” – zaczęli śpiewać.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

Daniszevska: – Dziwne są stosunki między panem bożią a człowiekiem.

Wołk-Łaniewska: – Przeważnie dość jednostronne. A przynajmniej należy mieć taką nadzieję. Jak nauczał wybitny psychiatra Thomas Szasz: „Jeśli ty mówisz do boga, to jest modlitwa; jeśli bóg mówi do ciebie, masz schizofrenię”.

– Nie sposób się nie zgodzić. Ale ja nie o tym chciałam, tylko o mojej babci...

– Zdrowa była?

– Jak rydz. Zwłaszcza po kilku latach na Syberii... Gdy wróciła z tych wojaży, w każdym kącie domu znajdowała takie małe podróżne obrazki, często w srebrnych koszulkach... Pozbierała je dokładnie i zaniósła do cerkwi.

– Czemu?

– No właśnie, tak jakby miało to jakieś znaczenie. Ot, trochę farby olejnej. Matka wkładała je żołdatom za pazuchę na szczęście. A oni je wrzucali gdzieś pod piec czy za szafę.

– Aha, takie obrazki?

– Takie właśnie.

– To mam w tej sprawie mieszane uczucia. Z jednej strony żał mi starej matki, co główniarzowi dała, co miała najcenniejszego, a on to sponiewierał...

– Wytlumacz mi, Wołku, gdzie tu sens, gdzie logika? Gdzie tu potrzeba duchowa? Jeden stary dziad, jedna kobieta przerobiona z Żydówki, dziewczina po porodzie. A to wszystko wymazane na desce.

– Właśnie do tego zmierzałam: z jednej strony żał mi matek, ale z drugiej jestem dumna z bohater-skich żołnierzy Armii Czerwonej, którzy nie ulegali miazmatom teizmu...

– Znam tylko jeden taki piękny obraz Podsadeckiego. Ale co to ma wspólnego z bożią? Dziewicą, osłem czy stajenką... Może bardziej z osłem? W każdym razie babcia mogła sobie o osłach pomyśleć potem, gdy ikony poszły w cenie... Ale już były w cerkwi.

– No tak, a upominać się było jakoś głupio. A poza tym jaki ksiądz by komukolwiek oddał raz zaha-rapcony majątek?

– Żaden. Bo każdy bóg jest do dupy. Bo go nie ma. Ale widać człowiekowi jest potrzebny. Tak jak ruletkę. Amen. A obrazy są lepsze lub gorsze. Na desce lub płótnie...

Dialogi dam w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA rozmyśla nad sprawami eschatologicznymi. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** przygląda jej się ze zdziwieniem. Nigdy nie podejrzewała jej o taką głębię.



– Coś ty? Jedna owieczka odnaleziona jest cenniejsza od 99, które nie potrzebują nawrócenia... Ostatnie wydarzenia z TK sprawiły mi jakąś niewysłowioną radość. Wprost mam ochotę sprosić przyjaciół i sąsiadów jak ten, co znalazł owcę.

– Z powodu mejla Dworczyka o Przylebskiej?

– Też. Wyznam ci szczerze, że tego babsztyla żarliwie nie znoszę. Nawet nie za to, że jest figurantką władzy na czele organu, który decyduje o legalności działań tej władzy: gdyby to był powód, musiałabym odczuwać żarliwą niechęć do setek pisowskich nominatów...

– No. I jaki masz z tym problem?

– Nie stać mnie emocjonalnie na tak szeroko zakrojoną nienawiść. To bardzo wyczerpujące. Ale przyczyną, dla której dla Przylebskiej robię wyjątek, jest ten moment, w którym opierdoliła rzecznika praw obywatelskich, każąc mu zwracać się do siebie per „wysoki trybunał”. Ta infantylna próba lewarowania własnego nieistniejącego autorytetu na postawie stanowiska, którego ewidentnie nie powinna piastować, jest dowodem szczególnie obrzydliwego bezwstydu. Jak zauważył kiedyś wybitny XX-wieczny etnolog Vilhjalmur Stefansson, fałszywa skromność jest lepsza niż żadna.

– Próbowalaś kiedyś?

– Fałszywej skromności? Ustawicznie. Wracając do TK: jeszcze bardziej ucieszył mnie sędzia Muszyński, który nagle poczuł się obrońcą niezależności trybunału i ogłosił na swoim blogu, że „nie podziela spojrzenia Pani Prezes na rolę TK” i „uprzejmie prosi, żeby nie łączyć go z ustaleniami, jakie mogły zapaść na spotkaniach” Przylebskiej z Dworczykiem. Na co wkroczył sędzia dubler o wdzięcznym nazwisku Wyrembak i zapisał – na oficjalnej stronie internetowej TK – że z „rynsztokowym okrzykiem, który niedawno był czarnym sztandarem wściekłych na trybunał miłośników przerywania ciąży, nadciąga widmo nowych rządów prawa sprawowanych za pomocą sierpa i młota”.

– Poeta...

– Jako żywo. Trochę krępujący jest w tym całym mordobicu w kisielu fakt, że na obrońcę praworządności wyrasta Muszyński, który – jak opowiedział w Tefale nie sędzia Biernat – był prawą ręką Przylebskiej, przez pracowników powszechnie nazywaną „Edkiem”.

– Jakim Edkiem?

– Mrożkowskim. Tym z „Tanga”: „On we wszystkim jest taki swobodny, taki naturalny jak motyl! Edziu, jak ty pięknie nakrywasz. – Co się będę opieprzał”.

– No i się nie opieprzają.

daniszevska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 206



rys. RYSZARD DĄBROWSKI